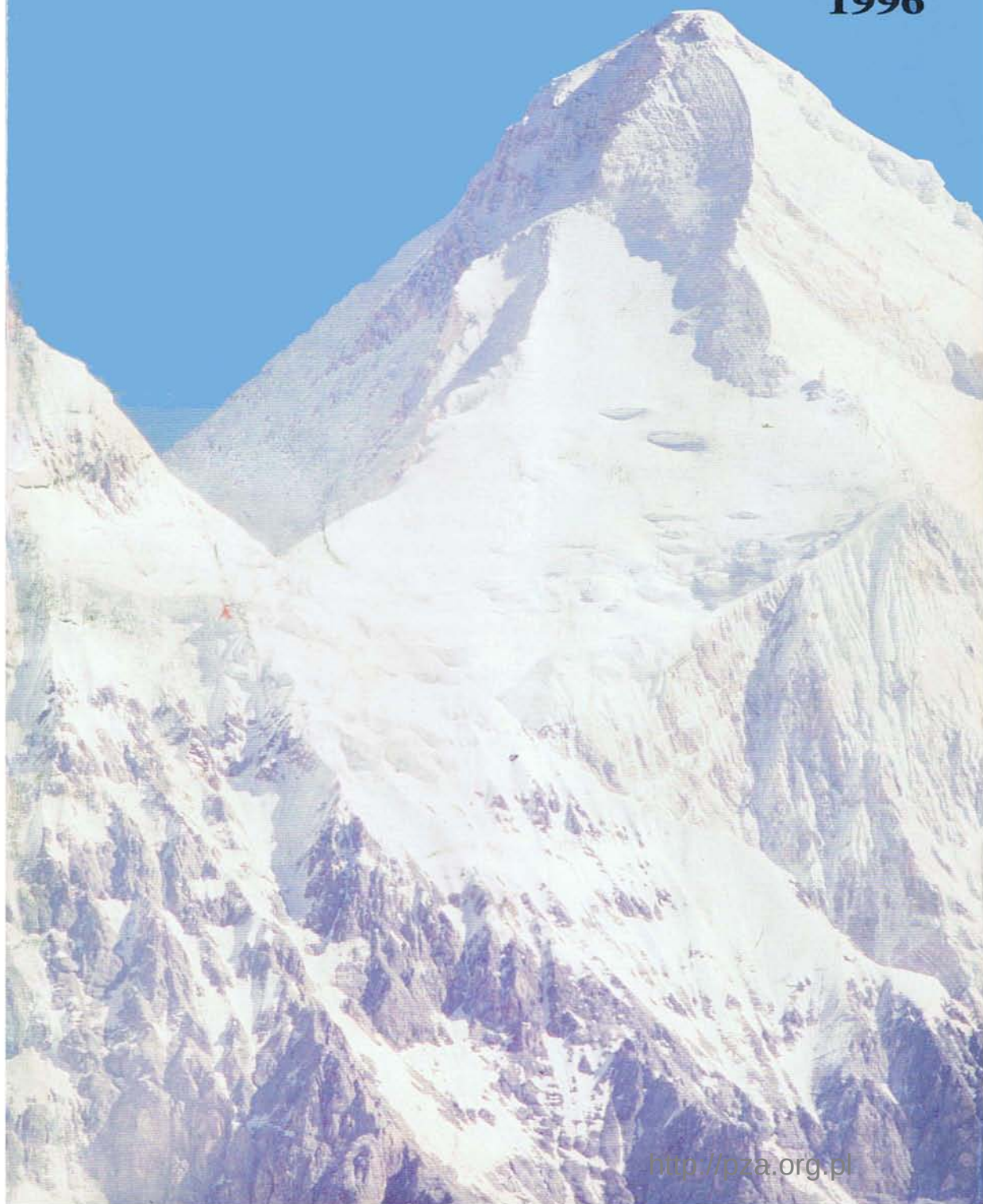
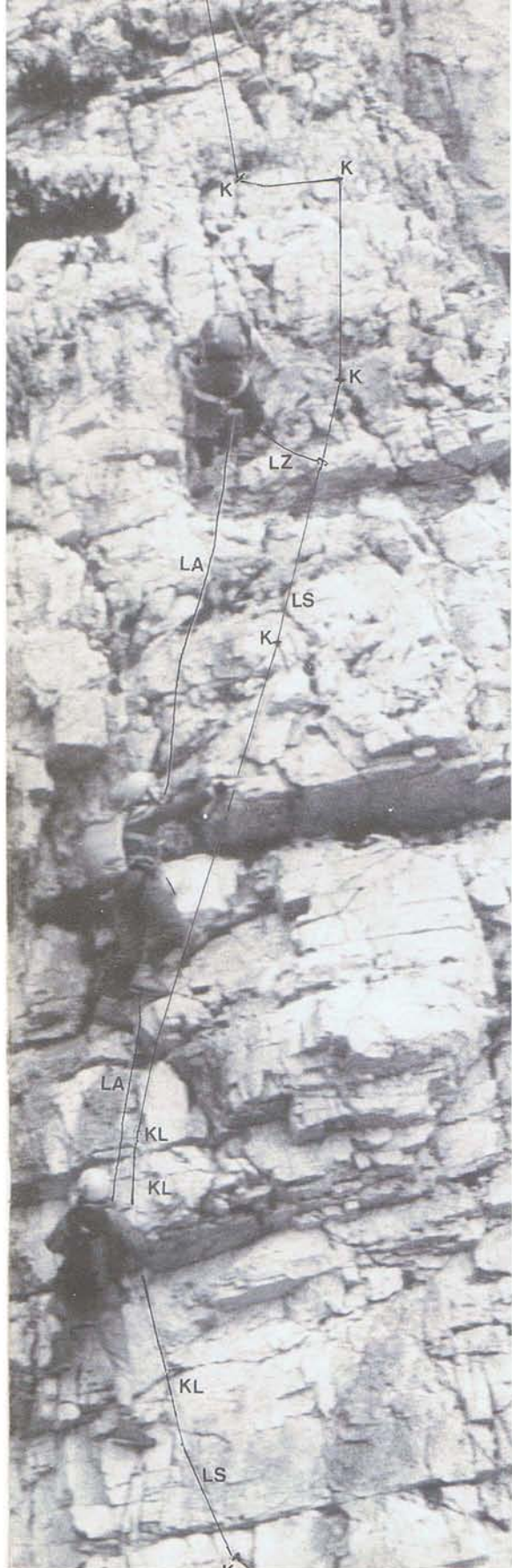


TATERNIK

²
1996





Spis treści

Tien Szan '95	2
My też wyszliśmy na wolność	6
Do wnętrza Tennengebirge	9
Eksploracja za Ósmym Syfonem	11
Studnia w Kazałnicy Miętusiej	13
Krótką historią eksploracji w Partiach Za Kolankiem	15
„Lody z wody” – Stubai	17
Broad Peak '95	19
Wspinaczka w Holandii i Belgii	20
Nowe obiekty wspinaczkowe	21
Mały Lodowy Szczyt	22
Tam, gdzie linę zastępuje lina stalowa	24
O sprawie taterników w „Polityce” ...	32
Etyka szkockiej zimy	34
Przegląd całorocznych butów górskich	36
Przegląd wernisaży	38
Pożegnania	40
Jaskinie i speleologia	41
Co nowego w Tatrach	42
Więści organizacyjne	43

Zdjęcie na okładce: Chan Tengri z południowego wschodu.

Fot. Z. Trzmiel

Zdjęcie obok: Zespół niemiecki na via ferrata M. Strobel. Asekuracja zbyt ryzykowna. Pierwszy ma zestaw samozabezpieczający, którego lonże wpinane są do liny stalowej, dwaj pozostali są z nim związani na krótko liną asekuracyjną. K - kotwa, LS - lina stalowa, LA - lina asekuracyjna, LZ - lonża, KL - klamry. (patrz artykuł, s. 24)

Fot. J. Wala

ISSN 01373155

Od redakcji

Uważni czytelnicy, kolekcjonujący wszystkie numery „Taternika”, pytają: co się stało z rocznikiem 1992? Jest zeszyt nr 1 (266), rok 65, a potem pojawia się następny oznaczony nr 1 (269), rok 67. Zniknął jeden rocznik, dwa zeszyty! Może nie tyle zniknął, co nigdy nie ujrzał dziennego światła. Miał to być podwójny numer wypełniony cennymi materiałami z lat wcześniejszych, opracowany przez Józefa Nykę. Niestety, stan zdrowia redaktora nie pozwolił na realizację tego zamierzenia. Rocznik 1992 nie ukazał się i powstała luka w numeracji. Z materiałów przeznaczonych do tego „Taternika” korzystaliśmy później w kilku przypadkach. Dotyczyło to działu speleologicznego i artykułu Wojciecha Świąćckiego o stanowiskach asekuracyjnych. Na to, żeby wracać do innych materiałów, jest już chyba za późno. Dociekliwym podajemy oznaczenia „Taterników” z ostatnich lat:

Rok 1991 – nr 1 (266), rok 65

Rok 1993 – nr 1 (269), rok 67

Rok 1994 – nr 1 (270), rok 68

Rok 1994 – nr 2 (271), rok 68

Rok 1995 – nr 1 (272), rok 69

Rok 1995 – nr 2 (273), rok 69

Rok 1996 – nr 1 (274), rok 70

Jest nadzieja, że od tego roku „Taternik” znowu będzie kwartalnikiem. Złożył się na to wysiłek wielu osób, a szczególnie kolegium redakcyjnego w osobach Rafała Kardasia i Wojciecha Świąćckiego. Od numeru 2/1994 „Taternika” nie wydaje już TEXT Krzysztofa Łozińskiego, lecz firma AGADE Magdaleny Kapeluś, która również zajmuje się dystrybucją. Ominięcie pośredników przy rozprowadzaniu nakładu sprawiło, że cena jednego numeru spadła i utrzymuje się w granicach normy. Treści poszczególnych zeszytów są różne, tak jak zmienny jest polski alpinizm. Nie ma tylu wypraw, co dawniej, za to więcej osób wyjeżdża w Alpy. Stąd potrzeba takich materiałów, jak Jerzego Wali o via, ferrata. Staramy się o to, aby w każdym numerze był artykuł „techniczny”. W następnym „Taterniku”, to wiadomość dla wielu osób cenna, ma się ukazać omówienie kilku ostatnich sezonów w Tatrach autorstwa Grzegorza Głazka. Jest też już gotowy pokaźny materiał Macieja Tertelisa o hakach. Kończąc ten redakcyjny komunikat, chciałbym podziękować wszystkim, którzy do nas piszą, jak i tym, którzy dopiero pisać zamierzają.

Andrzej Kłos



Zbigniew Trzmiel w trakcie pomiarów promieniowania licznikiem GM. W tle Chan Tengri.

Fot. J. Żurawski

TIEN SZAN

1995

Latem 1995 roku w górach Tien Szan działała grupa KW Poznań w składzie Marek Grudziński, Maciej Karoń, Paweł Pietrzak, Zbigniew Piotrowicz, Wojtek Sobczyński, Zbigniew Trzmiel, Jarosław Żurawski (kierownik) oraz Andrzej Dutkiewicz z KW Warszawa.

Celem wyprawy było pierwsze polskie wejście na najdalej wysunięty na północ siedmiotysięcznik świata Pik Pobiedy (7439 m).

Okres czterdziestodniowej działalności w otoczeniu lodowca Inylczek Południowy przyniósł następujące wejścia:

- **Edelweis** (~6000 m); pd.-zach. grzędą*; pierwsze wejście: 14.07 – A. Dutkiewicz, Z. Piotrowicz i Z. Trzmiel oraz 15.07 – M. Grudziński, M. Karoń, P. Pietrzak, W. Sobczyński i J. Żurawski.
- **Chan Tengri** (7010 m); drogą Pogrzebieckiego: 31.07 – Z. Trzmiel i 1.08 – J. Żurawski; A. Dutkiewicz oraz M. Karoń zawrócili kilkadziesiąt metrów przed wierzchołkiem.
- **Pobieda Zachodnia** – Waża Przewała (6918 m): 9.08 – A. Dutkiewicz i Z. Trzmiel oraz 11.08 – M. Grudziński, M. Karoń i J. Żurawski.
- **Pik Pobiedy** (7439 m); zachodnią granią 12.08 – A. Dutkiewicz i Z. Trzmiel.

Masyw centralnego Tien Szanu jest interesujący pod względem wspinaczkowym. Istnieje możliwość pierwszych wejść na wiele szczytów oraz poprowadzenie dróg o zróżnicowanych stopniach trudności. Ze względów geopolitycznych i wyjątkowo kapryśną aurę rejon był jak dotąd słabo eksplorowany.

Marmurową piramidę Chan Tengri (7010 m) – cel naszego wejścia aklimatyzacyjnego – zdobyto w 1931 roku. Pierwsi Polacy weszli na szczyt w 1989 roku**. Klasyczna, zaporęczowana droga stała się obecnie areną szybkich, 12-godzinnych wejść na 2,5-km przewyższenie.

W roku 1956 zakończyły się sukcesem osiemnastoletnie próby zdobycia Piku Pobiedy [1]. Wejście zimowe na ten szczyt dokonane zostało pięć lat temu [4]. Od strony północnej masyw przypomina... Giewont. „Głowa” kilometrowej szerokości kulminuje 3000 metrów nad lodowcem Zwiedzoczka. Czterokilometrowej długości ściana ciągnie się do Waży Przewała (Pobieda Zachodnia 6918 m) i ma wysokość 2600 m. Tragiczna statystyka – 81 oficjalnie zarejestrowanych ofiar wypadków lawinowych i załamania pogody – przyczyniła się do złej sławy góry.

Wybrana przez nas droga poprowadzona została w 1969 roku [2]. Wiedzie ona przez Przełęcz Dziką (5300 m) i pn.-zach. filar na Waży Przewała (6918 m). Po 4-km trawersie zachodnim grzbietem osiąga przełęczkę (7100 m), skąd eksponowana grań wyprowadza na wierzchołek Piku Pobiedy.

Do zaawansowanych polskich prób wejścia na szczyt należało osiągnięcie wysokości ~6500 m przez J. Żurawskiego w 1994 roku.

* W 1990 zespół angielski usiłował wejść na szczyt pn.-zach. grzędą. Według [3] góra ta nosi nazwę Odkryty i jest niższa o 336 m od sąsiedniego Edelweisa. Istotnie, nazwa Odkryty odpowiada charakterowi szczytu, na który weszliśmy, jednak nie potwierdziły tego inne źródła.

** 27.07.1989 K. Kiszka, R. Knapczyk, A. Samolewicz.

9 lipca. Na lodowiec Inylczek Południwy dotarliśmy po 100-km. locie śmigłowcem z doliny Karkara. Bazę założyliśmy na morenie powstałej w połączeniu z lodowcem Zwiedzoczka (3900 m). Dwa dni później podeszliśmy w górę lodowca Inylczek Południowy pod płd. ścianę Chan Tengri. U wylotu lodospadu Siemionowskiego, opadającego z zachodniej przełęczy, zweryfikowaliśmy nasze plany. Zrezygnowaliśmy ze „standardowej” aklimatyzacji w zagrożonym lawinami kuluarze i zainteresowaliśmy się nie zdobytym szczytem Edelweis (~6000 m).

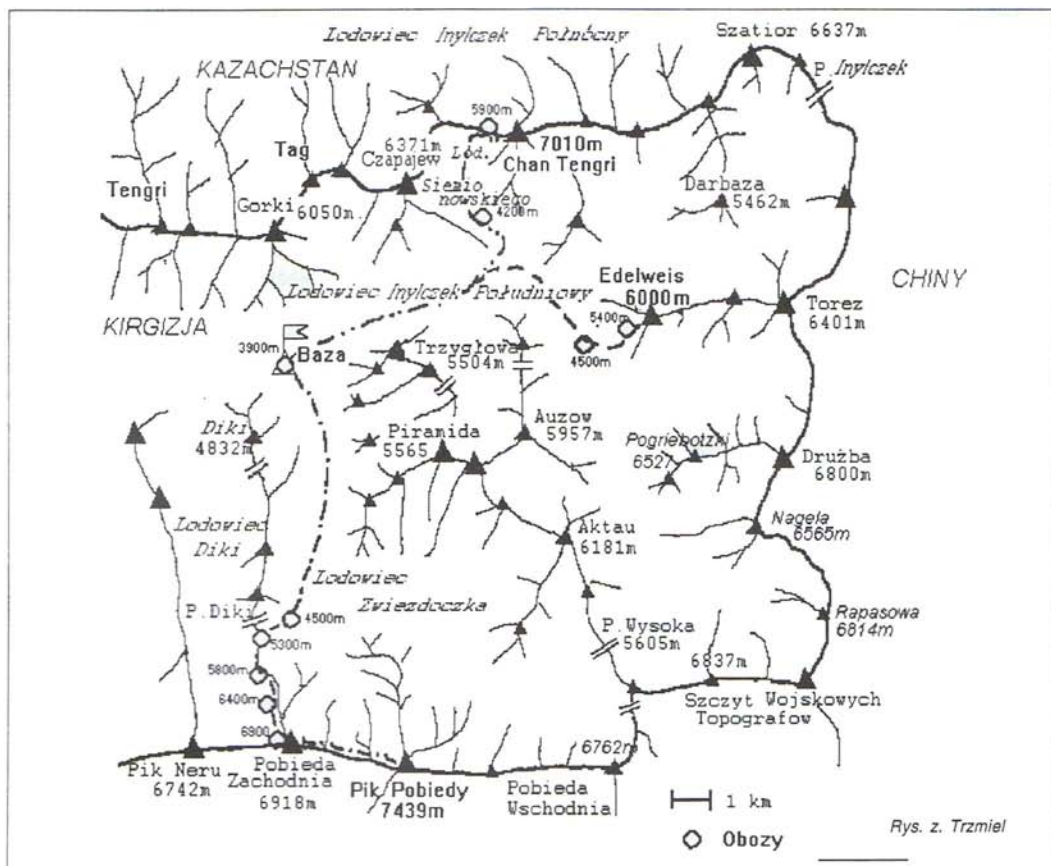
14 lipca. W dzień po wyjściu z bazy przedostaliśmy się przez potrzaskany lodowiec pod płd.-zach. grzędę Edelweisa. Po osiągnięciu wysokości ~5300 m wraz z Andrzejem i Zbyskiem kontynuowaliśmy dalsze podejście „na lekko”. W uszczelnionej (!) kopule szczytowej poruszaliśmy się z lotną asekuracją. Pogarszająca się pogoda i szybko zdobyta wysokość, zmniejszyły emocje pierwszego wejścia... Nazajutrz wierzchołek osiągnęli pozostali koledzy: Jarek, Maciej, Marek, Paweł i Wojtek.

19 lipca. Przejściem lodowca Zwiedzoczka rozpoczęliśmy działalność na Piku Pobiedy. Następnego dnia wyszliśmy z Andrzejem poręczyć dolną barierę seraków. Jeszcze na podejściu znaleźliśmy się w zasięgu monsturalnej lawiny pyłowej, która – jak relacjonowali koledzy z bazy – przesłoniła całą dolinę Zwiedzoczki. Potrzebowaliśmy całego dnia, żeby ochłonać z wrażenia po pierwszym spotkaniu z Władcą Nieba [1]...

21-23 lipca. Po zaporęczowaniu lodospadu i przejściu rozległego plateau osiągnęliśmy całą grupą przełęcz Dziką (5300 m). Pracowite przygotowanie śnieżnych jam zapewniło nam spędzenie wygodnych biwaków. Utrzymujące się załamanie pogody zmusiło nas do zdeponowania sprzętu na przełęczy i zejścia do bazy.

Po przeczekaniu kilkudniowych opadów śniegu, podjęliśmy akcję na Chan Tengri w zmniejszonej do 5 osób grupie. Po nocnym podejściu lodowcem Siemionowskiego osiągnęliśmy Przełęcz Zachodnią (5900 m).

31 lipca. Jarek z Maciejem i Wojtkiem pozostali na miejscu biwaku. Razem z Andrzejem podchodziliśmy 1100-metrowym zachodnim żeblem.





Chan Tengri od południowego zachodu

Fot. Z. Trzmieł

Początkowo dobra pogoda pogarszała się. Widoczność zmalała do kilkunastu metrów, wiatr zacinął gęstym śniegiem. Andrzej, któremu doskwierały zmarzniete stopy, rozpoczął powolne zejście. Z rozterką kontynuowałem już tylko dwudziestominutowe podejście na wierzchołek

1 sierpnia. W południe dotarłem z Andrzejem do bazy. Z radiowej informacji wynikało, że Wojtek zawrócił do namiotu z powodu odmrożeń. Jarek z Maciejem wspólnie kontynuowali wspinaczkę. Przez lornetkę obserwowaliśmy pojedynczą sylwetkę na podszczytowych polach. W trakcie łączności Maciej przekazał wiadomość o swoim odwrocie... Jarek samotnie osiągnął wierzchołek.

Powrót na Pobiedę

6 sierpnia razem z Andrzejem podeszliśmy pod znany już lodospad. „Brak” kilkupiętrowego seraka na przełamaniu bariery potwierdził nasze obawy o trwałość wytyczonego przejścia. Na Przełęczy Dzikiej nasze nastroje poprawiło wysondowanie depozytu. Podczas wieczornej łączności dowiedzieliśmy się o skręceniu nogi przez Wojtkę po pechowym zaliczeniu szczeliny.

Nazajutrz Jarek z Maciejem sprowadzali Wojtkę do bazy, a my wykorzystaliśmy kilkogodzinną przerwę w opadzie śniegu i przy słabej widoczności dotarliśmy do podstawy skał filara (5800 m). Odnaleźliśmy wejście do... systemu połączonych jam śnieżnych, gdzie schroniliśmy się przed huraganowym, północnym wiatrem.

8 sierpnia Dzień rozpoczęliśmy od odśnieżenia wyjścia z jamy. Łączność radiowa przyniosła niepomyślnie wiadomości. Zbyszek i Paweł zrezygnowali z dalszej działalności, a na Przełęczy Dziką podchodzili Jarek z Maciejem, Markiem i Rosjaninem

Nikołajem. Mimo późnego wyjścia osiągnęliśmy z Andrzejem wysokość 6150 m. Mała ilość śniegu uniemożliwiła wykopanie jamy i spędziliśmy ciężki biwak w szarpanym przez wiatr namiocie.

9 sierpnia o brzasku podziwialiśmy wierzchołki szczytów wystające ponad zakryte chmurami lodowce. Przez cały dzień utrzymywała się ... zaskakująco ładna pogoda. Poruszaliśmy się dalszą eksponowaną częścią filara w pięknej scenerii różnokolorowych marmurów. Na lodowych polach pod wierzchołkiem Waża Przewala wiatr wytrącał nas z równowagi. Panorama ze szczytu – 6918 m – ograniczona była od strony wschodniej przez główny, wyższy o 521 metrów i odległy jeszcze o 4 km wierzchołek. Na południu ostatnie szczyty „Niebiańskich Gór” odbijały się na tle pastelowej pustyni Takla Makan. Na północy dominowała piramida Chan Tengri. Tego dnia zespół Jarka dotarł na wysokość 5800 m.

10/11 sierpnia. Doceniając walory jamy przygotowaliśmy śnieżne schronienie dla siebie i dochodzących z dołu kolegów. Zamieć na grani odstręczała nas od próby wyjścia w kierunku wierzchołka. Tragicznym utwierdzeniem w naszej decyzji była radiowa informacja o spadku Łotysza z grani szczytowej północną 3-km ścianą...

12 sierpnia rozpoczął się pogodnie, niemal bezwietrznie. Chłopacy, którzy dotarli poprzedniego wieczora, odpoczywali w jamie. Razem z Andrzejem wyruszyłem w kierunku szczytu. W trzy godziny przeszliśmy połogi grzbiet i dotarliśmy pod spiętrzenie grani. Po trawersie Obelisku wspinaliśmy się skałami i śnieżną ostrogą kopuły szczytowej.

Kolejne wzniesienia wydawały się wierzchołkiem, a pogoda gwałtownie pogarszała się. Porywisty wiatr niósł już pierwsze płatki śniegu, a od północnego zachodu napływały ciężkie chmury. Przemarzałem mimo szybkiego tempa i dodatkowego okrycia puchową kurtką.

Wreszcie... Wypiętrzona grań zaczęła opadać na wschodnią stronę.

Trudne manipulacje kamerą i... załopotała narodowa flaga nad Pobiedą! 12.08.96, godzina 13:30.

Nie rozwialiśmy „mitu”*

Widoczność malała z każdą chwilą. Po kilku minutach od przybycia Andrzeja rozpoczęliśmy zejście. Z wzmoczoną uwagą poruszaliśmy się eksponowaną granią. Od Obelisku w nawianym śniegu

napieraliśmy na wiejący w twarz wiatr. Mieliśmy tak przejść jeszcze tysiące metrów? Musieliśmy się trzymać z daleka od nawisów poszerzających grań na stronę północną. Na lodowych polach po stronie południowej zsuwały się pierwsze lawiny. Rozpoznałem zejście z charakterystycznego seraka; stąd byłoby już widać wejście do jamy.

Kolejny sondowany w zamieci krok i nogi nie znalazły oparcia. Zatrzymałem się w nyży lodowej po kilkunastometrowym poślizgu na chińską stronę. Ból w barku i lewej stopie poczułem dopiero po chwili. Odciażając skręconą nogę doznałem do zaciśniętej jamy. Byliśmy razem.

14 sierpnia. Wraz z Andrzejem i Markiem kończyłem dwudniowe zejście na lodowiec. Delikatesy przyniesione przez Zbyszka i Pawła pod ścianę miały szczególny smak po dziewięciu dniach od wyjścia z bazy. Tego dnia Jarek i Maciej podjęli trudną decyzję o odwróceniu z drogi na szczyt.

P.S. W imieniu uczestników wyprawy pragnę podziękować instytucjom i firmom, których pomoc umożliwiła realizację założonych celów. Szczególnie dziękuję Polskiemu Związkowi Alpinizmu oraz firmom Małachowski, Mount and Vave, Himal Sport, Alpin, ComputerLand, Sezam i Servisco.

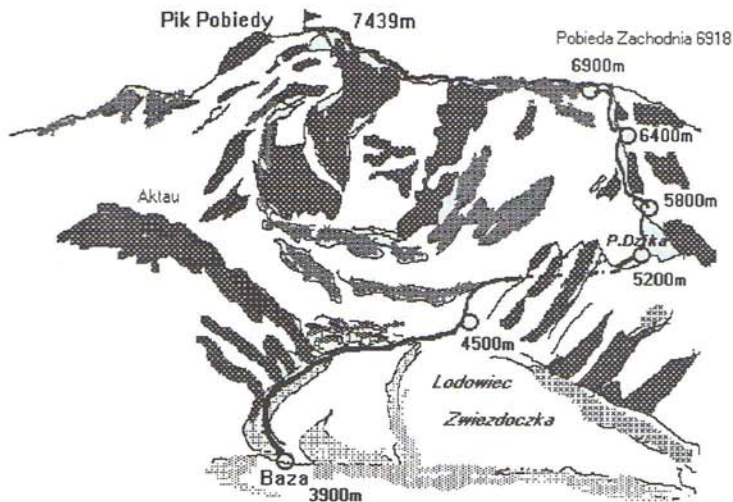


Pik Pobiedy z bazy na lodowcu Inylczek Południowy Fot. Z. Trzmiel

* Nasze zmagania na Pobiedzie nie rozwiąły jej złej sławy... Jedynie prowadzone przez nas pomiary poziomu radioaktywności nie potwierdziły opinii o szczególnym napromieniowaniu rejonu.

Źródła:

- [1] B.Chwaściński: *Ku nie zdobytym szczytom*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1987.
- [2] I.Dieska: *Horolezectwo zbliżone*, Sport, Bratysława 1984.
- [3] P.Knott, A.Miller: *Going Russian*, Mountain Review 4, 1994.
- [4] W.Kriszczaty: *Zimne technienie góry, Wielkie Wspinaczki* pod red. Ch. Boningtona, Wydaw. Pascal 1995.



Rys. Z. Trzmiel

Lodowiec Inylczek Południowy

My TEŻ wyszliśmy NA wolność



Droga, na którą się wybieramy, znajduje się w wąwozie Bourne w masywie Vercors, kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od Grenoble. Po próbach trwających przeszło piętnaście lat, dzięki zastosowaniu techniki spitowania bracia Yves i Claude Remy, znakomici szwajcarscy wspinacze, przeszli w 1990 roku to чудо natury. Wnęka Bournillon, z którą się rozprawili, stanowi ogromne, u swojego początku wysokie na 120 metrów, wejście do jaskini. Na długości około 100 metrów jest poziomym dachem skalnym, a na dalszych 80 m czterdziestopięciostopniową przewieszką. W sumie 180 metrów chodzenia po suficie! A pod spodem Rybie Oko - zielone lustro jeziora. Ale to jeszcze nie wszystko! Po przebyciu dachu zespół szwajcarski poszedł w górę i wśród scenerii wielkich okapów, wodospadu, drzew o oryginalnych kształtach i pnączy dzikiej roślinności wyszedł na wierzchołek. Drogę nazwali „Liberte”, czyli „Wyjście na wolność”.

Relację Clauda Remy'ego z tego przejścia przeczytałem parę lat temu w jednym z pierwszych numerów „Gór” i odtąd wiedziałem, że przyjdzie czas, że także wyjdę na wolność.

Poniedziałek, 16 października 1995 r., jedziemy. Renault Mačka mknie przez Europę. Dookoła jesień malowana tysiącem kolorów. Kasia Kowalska i Skaldowie swymi największymi przebojami, przekrzykują ryk silnika. Słowackie piwo i muzyka wprawiają nas w szampańskie nastroje. Renault ciągle się psuje, ale doświadczenie i opanowanie Mačka, jego mistrzostwo w dziedzinie mechaniki samochodowej daje mi duże poczucie bezpieczeństwa. Śmiejęmy się jak szaleni, gdy siekierą, majzlem i piłką do metalu naprawia odmawiającą współpracy stacyjkę (...).

Wreszcie wyjeżdżamy w masyw Vercors. Pierwsze skały, które widzimy, powodują, że „pokor-

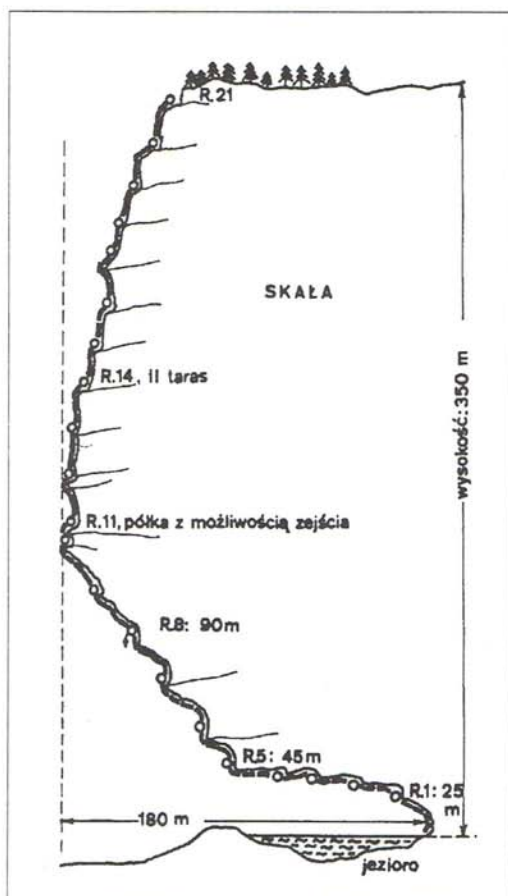
niejemy” w oczach. Z Maćkiem wymieniamy załęk-nione, porozumiewawcze spojrzenia. Marcin z lekkim uśmieszkiem na ustach badawczo nam się przygląda.

Trudno powiedzieć, co czuje się, gdy następuje konfrontacja wyobrażeń z górską rzeczywistością, szczególnie gdy rzeczywistość ta jest tak monumentalna. Porażony ogromem skały nad nami, pięknem form, barwą jeziora wręcz rzucam się na pierwszy wyciąg drogi. Chodzi o to, by przed właściwą wspinaczką rozpoznać jej charakter oraz zdeponować sprzęt. Dość gładko przechodzę pół długości liny i zjeżdżam. Trochę się uspokajamy. Wracamy do najbliższej wioski - miasteczka Choranche, które staje się naszą bazą. Marcin, znawca Francji, serwuje wino, bagietki i parę rodzajów sera. Dary ziemi francuskiej rozprzyskają się w ustach. Rano o piątą jesteśmy już na nogach. Zabieramy resztę sprzętu, a Marcin duży statyw. Będzie nam robił zdjęcia z dołu, które wraz z fotografiami wykonywanymi przez nas na ścianie, stworzą pełną dokumentację. A jest co fotografować - dach Bournillon to coś niebywałego. Pięć minut jazdy samochodem, dwadzieścia minut podejścia i możemy rozpocząć wspinanie. Pierwszy wyciąg jest niezwykle i efektowny. Wspinam się szybko, lekko, po kolei wpinam się do spitów. Wydaje się, że powinno nam się udać zrobić całą drogę w dwa dni. Maciek idzie za mną - zajmuje mu to tyle czasu, co mnie, i przychodzi na stanowisko trochę zmęczony, a to dopiero pierwszy wyciąg. Oddaje mi plecak, w którym mamy czołówki, szturmażarcie i litr wody, i idzie dalej. Schodzi długo - trochę się niepokoję o jego formę. W końcu idę za nim i wiem, że bardziej powinienem martwić się o swoją. Wspinam się dokładnie tak długo, jak on, i jestem zdezorientowany. Zwykle wspinaczka drugiego w zespole trwa krócej, niż tego, który prowadzi. Tu jest

inaczej. Drugi bardzo się musi wyteńczyć, by wypinać za sobą punkty przelotowe - ekspresy i karabinki, a ponadto plecak mocno daje się we znaki. Na drugim stanowisku jestem kompletnie mokry i tak zmęczony jak nigdy w życiu. Mam ochotę „rzucić to wszystko” zrezygnować, zjeżdżać, „iść do domu”. O facetach, którzy mają takie problemy w ścianie, w żargonie wspinaczkowym mówi się że „siada im psycha”. Czuję się strasznie. Wisimy jak dwa pajaki pod sufitem, opierając się nogami o dwudziestocentymetrowy gzyms. Pod nami zieleń jeziora, przed nami jeszcze trzy wyciągi takiej mordęgi, bo tyle jest do końca poziomego dachu, a to i tak tylko jedna czwarta całej drogi. Wisimy tam około godziny, zastanawiając się, co robić, zjadamy wszystko co mamy, wypijamy wodę. W końcu zwycięża siła spokoju i pozytywne myślenie Maćka. Wobec wolnego tempa wspinaczki, które uzmysławia mi, że nie jesteśmy tacy świetni, jak myślałem, muszę zrezygnować z koncepcji przejścia „błyskawicznego”. Bardzo mi smutno z tego powodu. Ale idziemy - powoli, w mozołe, niszcę w sobie dyktaturę sportowych ambicji. Jakimś cudem spuszcza my w dół „przeklęty” plecak. Trzeba go rozhuścić tak, by Marcin, który stoi czterdzieści metrów pod nami, mógł go „wybrać” znad lustra wody. Uda się. Wspinamy się dalej, wchodząc w część drogi, z której nie można się już wycofać na „suchy ląd”. O osiemnastej, kiedy jest już ciemno, wisimy na trzecim z kolei stanowisku. Wokół latają nietoperze, które usiłuję sfotografować, ale są to niezwykle ruchliwe zwierzątka. Prawie nieprzytomny ze zmęczenia, z mieszanymi uczuciami przyglądam się Maćkowi, który od dłuższego czasu rządzi w zespole. Nareszcie rozumiem, że on po prostu ma ochotę wykapać się w jeziorze. Rozbiera się, zostaje tylko w majtkach i uprząży. Na głowie ma kask z czołówką oraz przytroczony kombinezon wspinaczkowy. W ciemności i ciszy słyszę plusk wody, gdy mój odważny partner do niej wjeżdża, a potem płynie. Imponuje mi jego pewność i zdecydowanie w działaniu. Mam poczucie, że robimy „wielkie rzeczy”. Zostaję sam pod sufitem - teraz moja kolej. Opanowując strach, bo zjeżdżania boję się najbardziej, powoli sunę 40 metrów w ciemność, wioząc ze sobą buty Maćka i inne rzeczy. Na dole chłopcy tak ciągną mokrą linę, że dotykam ziemi suchą nogą. Uff, nareszcie mogą odpocząć.

Drugiego dnia rano wstajemy jeszcze wcześniej. Parę chwil i znów jesteśmy pod największym naturalnym dachem Europy. Maciek z Marcinem wypuszczają mnie końcówką liny na środek jeziora. Teraz tylko 40 metrów podejścia na przyrządach i znów wiszę na stanowisku, z którego dzień wcześniej zjeżdżaliśmy. Po piętnastu minutach Maciek

jest przy mnie. Żądny rewanżu za ostatnie narzekanie rozpoczynam wspinaczkę. Nie jest już tak strasznie - doświadczenie z poprzednich wyciągów robi swoje. Pogodzeni z tempem przemieszczania się, cierpliwie idziemy naprzód. Po dwóch wyciągach mamy za sobą pierwsze 100 metrów drogi poziomego, jedyne w swoim rodzaju dachu. Na dalszych dwóch długościach liny jest więcej światła i mamy lepsze widoki na okolice. Wzrasta ekspozycja. Marcin stojący na dole z każdym metrem wspinania staje się coraz mniejszy. Przybyli na weekendowy spacer Francuzi przyglądają nam się z dołu. Rozpiera nas duma. Dochodzę do Maćka, gdy jest już zupełnie ciemno. I znów zjazd. Tym razem to prawie po 80 metrów i do tego trzeba się przepląć przez węzeł łączący nasze liny. Zjeżdżam pierwszy i błogosławieciem ciemność. Nigdy jeszcze nie wykonywałem tak długiego zjazdu i to od samego początku bez kontaktu ze ścianą. Po zjeździe Maćka zaczepiam linę o skały obok tak wysoko, aby ktoś przypadkowy nie mógł sobie wziąć jej kawałka na pamiątkę. W dobrym nastroju wracamy do Choranche (...)



Rankiem trzeciego dnia akcji znowu błogostawie ciemnością, bo podejście na przyrządach po cienkiej czerwono-zielonej linie, podobnie jak i zjazd, to wielka próba nerwów. Rozpoczyna się wspinanie najbardziej chyba efektywną częścią drogi. Wolni od stresów związanych z asekuracją, co umożliwia nam komplet spitów rozmieszczonych na całej „Liberte”, wspinamy się w ponadstumetrowej, zupełnej ekspozycji. Po doświadczeniach siedmiu wyciągów, które są już za nami, mamy idealnie dopasowany sprzęt i wygodny sposób transportu plecaka. Poza nieistotnym w tej sytuacji bólem odcisków na palcach, możemy już tylko rozkoszować się miarową wspinaczką i obecnością w świecie ogromnych okapów, świecie, który został nam dany. Już wiemy, że jeszcze jeden dzień i staniemy jak bracia Remy i inni „twardzi faceci” na szczycie Bournillon. Tego dnia przechodzimy pięć wyciągów i wychodzimy wreszcie z przewieszanej części „Liberte”. Dość wcześnie, bo jeszcze przy świetle dziennym, wykorzystując możliwość wytrawersowania ze ściany schodzimy do samochodu. W nocy podekscytowany prawie nie śpię.

Piąty raz maszerujemy świetnie już nam znaną ścieżką pod naszą wnękę i o ósmej jesteśmy na dwunastym stanowisku. Przed nami osiem wyciągów kończących drogę i dziewięć zjazdów, które wykonuje się obok na specjalnie przygotowanych stanowiskach. Wspinamy się wśród pięknej scenarii skalnej, przewieszonych traw i drzew o wymyślnych kształtach, które rosną w poziomie. Koło nas, w odległości 100 metrów z hukiem spada 350-metrowy wodospad. Pierwszą część dniówki idę pierwszy, Maciek „małpuje”, bo teren na to pozwala i wspinanie staje się szybkie. Idę po drzewach i zapieram się między nimi a skałą - jestem jak w transie, zapominam o rzeczywistości. Po drodze mijamy gniazda os i straszę Maćka, że mogą być

groźne. Ale tym razem mamy dużo szczęścia i nic nie jest w stanie nas zatrzymać. Z satysfakcją oddaję prowadzenie, znużony parogodzinną gimnastyką. Zjadam swoją część jedzenia i zakładam czołówkę, bowiem czas płynie nieubłaganie. Kończymy drogę w ciemnościach. Maciek znudzony monotonią wspinaczki na drugiego z pasją rusza na końcowe wyciągi. Przez dłuższy fragment wspinają się klasycznie. Jedną długością liny pokonuje dwa odcinki opisane przez pierwszych zdobywców. Chwilę błądzi, potem czołga się wąskim gymsem. Grzebiąc w glinie wydobywa korzeń, do którego wpina naszą linę. Idę za nim w rytmie „nie całuj mnie pierwsza...” walczę z gymsem i niesfornym plecakiem. Jeszcze tylko jedna ścianka będziemy wolni... Gdy mój partner prowadzi ostatnie trudne metry ze stanowiska między drzewami, widzę resztki dnia na horyzoncie. I wtedy czuję wielką radość. Ogarnia mnie poczucie bycia na swoim miejscu. Jak nigdy wdycham ciepły zapach lasu, jestem szczęśliwy...

Najgorsze są zjazdy, najwięcej przy nich wypadków. A tu ciemna noc, ekstremalny, nieznany teren i duże zmęczenie. Szybko robi się północ, zaczyna wiać przenikliwy, zimny wiatr. Prowadząc zjazdy osiem razy - bo tyle ich jest - drzę o to, czy trafię na kolejne stanowisko. Mijamy okapy i pionowe ściany, które w świetle laterek wyglądają groźniej, niż wszystko, co przeżyliśmy wcześniej. Zjeżdżamy ze spitów i drzew, co do których nie ma pewności, czy są odpowiednie. Nie mamy nic, co moglibyśmy osadzić, i jesteśmy całkowicie zależni od sprzętu zostawionego w ścianie przez poprzedników. Ale jakoś nam idzie, mamy bardzo dużo szczęścia. W środku nocy znajdujemy się w miejscu, skąd parę dni wcześniej rozpoczęliśmy przygodę z wnęką Bournillon...

(Przegląd Zakopiański 45/95)

Hand

Oto nowość sprzed roku firmy Wild Country. Nazywa się hand i działa jak węzeł samozaciskowy. Praca przyrządu opiera się na zasadzie działania znanej w żeglarskiej knagi zaciskowej. Lina wspomagana ukośnym zeberkowaniem zakleszcza się w szczelinie, jaką tworzą dwie połowki urządzenia. Na zdjęciu widać tylko jedną stronę handa. Na drugiej (niewidocznej) pokazano, w jaki sposób wpinać linę. Otwór w dolnej części przyrządu służy do wpięcia karabinka i połączenia poprzez pętlę z uprzężą. Całość działa zadawalająco. Wytwórca proponuje zastosowanie w różnych akcjach autoratowniczych. Nie poleca natomiast swego wyrobu w wielkich ścianach i do długich podejść na linie.



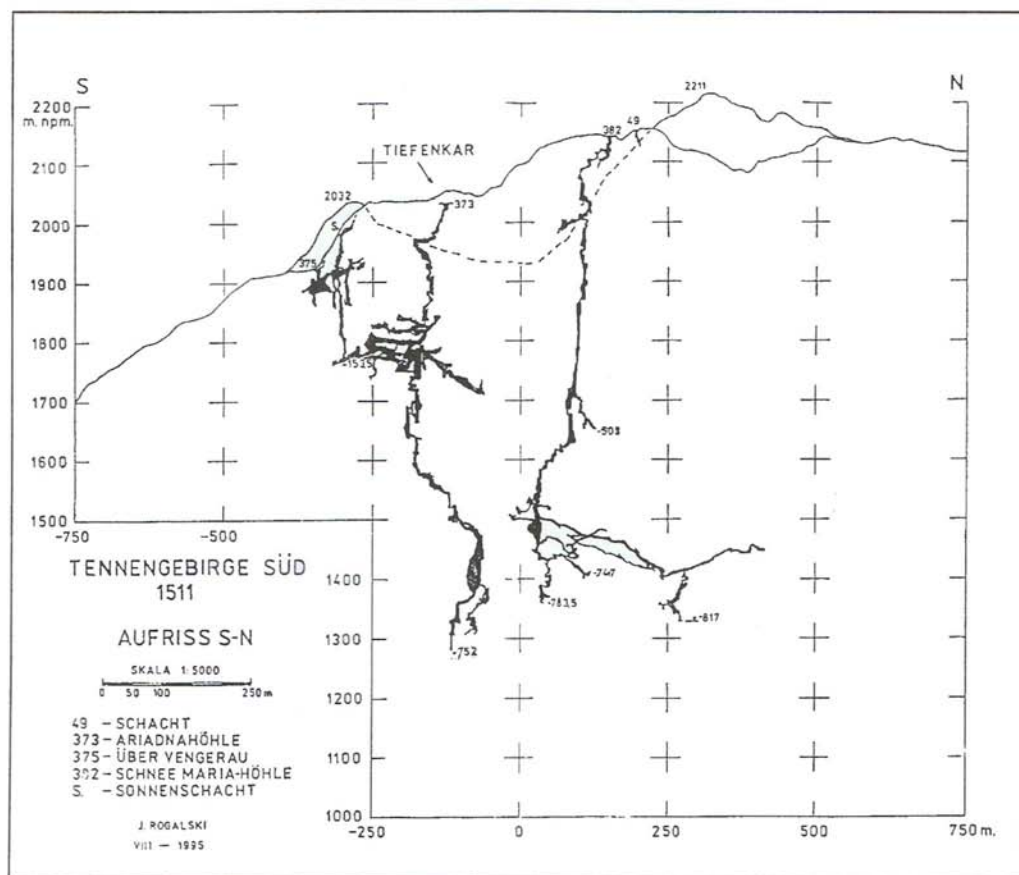
Do wnętrza Tennengebirge

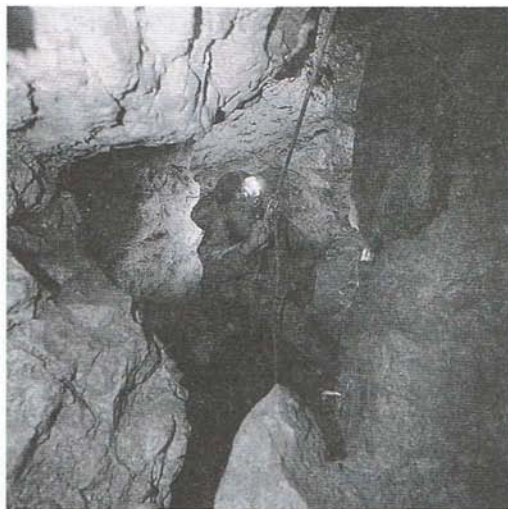
Fotografie Andrzej Dajek

Tennengebirge – wapienny masyw, wznoszący się do 2400 m n.p.m. Wspinaczom jest to rejon mało znany. Zwłaszcza że nie opodal na wschodzie rozpościera się o wiele bardziej wspinaczkowo atrakcyjny masyw Dachsteinu, a na północnym zachodzie wyrasta słynna północna ściana Watzmana. Ale to największe tej części Alp krasowe plateau otwiera bardzo duże możliwości dla działalności speleologicznej. Przyciąga ono od lat grotolarzy z całego świata. Wspaniałymi odkryciami mogą pochwalić się tu Francuzi, Austriacy, Belgowie. Szczególnie duży wkład w poznanie podziemi Tennengebirge mają Polacy*.

* Oprócz omówionych w artykule wypraw FAKS, były to wielokrotne działania klubów (WAKS i Speleoklub Warszawski), Speleoklub „Bobry” z Żagania i Speleoklub Bielsko-Biała oraz KKTJ. Wyniki tej eksploracji: (m.in. Meanderhöhle o głębokości – 1028 m) podsumowane są krótko w artykule Z. Rysieckiego w „Taterniku” 2/95, s. 10-13 (red.).

Dotychczas najlepiej poznano, a co za tym idzie największe i najgłębsze systemy jaskiniowe odkryto na północno-zachodnich, północnych i północno-wschodnich obrzeżach Tennengebirge. Od tej właśnie strony uwalniane są ogromne masy





wchłanianej przez masę wody. Tu najłatwiej do-
trzeć do jej najniższych przepływów.

Ale jak wyglądają jej podziemne drogi z centrum
masywu i dalej – z jego południowych kranców?
Jak zmieniały się one na przestrzeni tysięcy lat?
Czy istnieją dostępne człowiekowi korytarze po-
zwalające choć w części odtworzyć tę historię?

Pytania te trochę wykraczają poza sportowy
stereotyp taternictwa jaskiniowego, ale właśnie ta-
kie zagadnienia i wiedza w nie zaangażowana są
faktycznym motorem wymagającym często wielo-
letniej pracy, przedsięwzięć speleologicznych.

Problem południowej części Tennengebirge za-
interesował grotolazów skupionych wokół Federacji
Akademickich Klubów Speleologicznych przeszło
10 lat temu. Do dziś zorganizowano w ten rejon
4 wyprawy.

W 1985 i 1988 r., kierowane przez Krzysztofa
Makowskiego, i następne, po sześcioletniej prze-
rwie, w 1994 i 1995 r., kierowane przez Jarosława
Rogalskiego. Ich dorobkiem jest odkrycie wielu
jaskiń o łącznej długości 12,5 km.

Dwie z nich zasługują na szczególną uwagę,
obie też wyznaczają dwa odmienne kierunki po-
szukiwań.

Pierwsza to Jaskinia Ariadna (przeszło 5 km
długa i 752 m głęboka), najdłuższa obecnie jaskinia
południowej części Tennengebirge. W Ariadnie na-
trafiono na głębokości –200 m (1700 - 1800
m n.p.m) na system potężnych korytarzy – „Gan-
gów”, w którym skupia się obecnie jej eksploracja.
Mamy tu perspektywę rozbudowy dużego, pozi-
omego systemu jaskiniowego, którego kierunki roz-
woju są jeszcze dziś zagadką z bardzo odległej
przeszłości tych gór.

Inny kierunek poszukiwań, związany z bliższą

nam historią masywu, otwart się w Jaskini Marii
Śnieżnej (3,5 km długości, –817 m głębokości – naj-
głębsza obecnie jaskinia tego rejonu). Tu natrafiono
na poziomy system korytarzy dużo głębiej, bo na
–700 (1400 - 1500 m n.p.m.). Zmierzają one w kie-
runku północnym – do wnętrza masywu. Z nimi
wiążemy nadzieje na poznanie przebiegu systemu
jaskiniowego pod centralną częścią Tennengebirge.
Tu, prócz podążania za logiczną kontynuacją jaskini,
kusi możliwość osiągnięcia dużej deniwelacji.

Jest to dopiero początek naszych poszukiwań.
Droga w głąb masywu może być skomplikowana,
trudno dostępna lub zamknięta zupełnie.

Ta ostatnia, najbardziej pesymistyczna perspek-
tywa jest niestety stałym elementem ryzyka każdej
eksploracji jaskiniowej.

Co będzie – pokażą kolejne wyprawy w połu-
dniową część Tennengebirge.

Wyprawa Federacji Akademickich Klubów Spe-
leologicznych działała w 1995 r. w Tennengebirge
w składzie:

– AKG AGH

z Krakowa – Tomasz Bartuś, Andrzej Dajek,
Agnieszka Grochal, Paweł Jurkiewicz,
Jacek Kawarski, Marcin Kra-
jewski, Marek Kruczałak, Jaro-
sław Rogalski,

– WKTJ

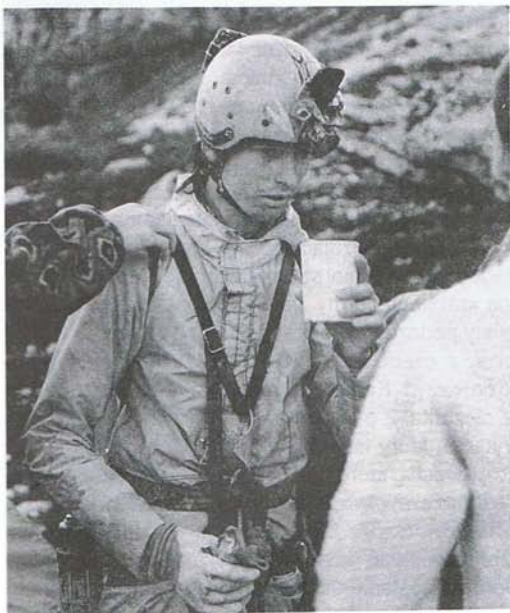
Poznań – Andrzej Mroczek, Andrzej Oślicki,
Tomasz Węclawek, Aleksandra
Woźnica,

– SCW

Wrocław – Zbigniew Grzela,



Biwak w Jaskini Ariadna na poziomie –200 metrów



- STJ KW
Warszawa – Andrzej Mikołajczuk,
- SKS Aven
z Sosnowca – Waldemar Mucha,
- STJ KW
Kraków – Maciej Tomaszek.

Podczas wyprawy efektywną eksplorację prowadzono w 4 jaskiniach: Słonecznej Studni (Sonenschacht), Über Vengerau Höhle, Ariadna (Ariadnahöhle), i Marii Śnieżnej (Schnee Maria Höhle). Odkryto w nich ok. 3,5 km korytarzy, a ostatnią z wymienionych pogłębiono do –817 m.

Prócz tego wykonano dokumentację 4265 metrów podziemi.

Pragniemy podziękować za materialną pomoc w zorganizowaniu tego przedsięwzięcia Polskiemu Związkowi Alpinizmu, Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Ministerstwu Edukacji Narodowej oraz Browarom Wielkopolski S.A.

Wiktor Bolek

EKSPLORACJA ZA ÓSMYM SYFONEM

Na przełomie lutego i marca 1996 r. została zorganizowana akcja nurkowa do jaskini Kasprowej Niżniej. Wzięli w niej udział członkowie Sekcji Grotolazów Wrocław: Wiktor Bolek – kierownik, płetwonurek oraz Jacek Buraczewski, Marcin Fetter, Krzysztof Jabłoński, Arkadiusz Maciuk.

Końcowe syfony w górnym korytarzu tej jaskini od dawna stanowiły wyzwanie dla grotolazów-płetwonurków. Pierwszy syfon (Syfon Danki) został pokonany w lutym 1959 przez płetwonurków z Krakowskiego Klubu Grotolazów Wiesława Maczka i Kazimierza Grotowskiego. Podczas wyprawy zorganizowanej dokładnie w rok później W. Maczek z dwoma towarzyszami pokonuje drugi syfon (Syfon Krakowski) i dociera do Sali Kaskad. Kolejne akcje były organizowane przez Zespół Podwodny Speleoklubu Warszawskiego. Podczas nurkowania przeprowadzonego 29.12.1969 r. Jacek Bzowski i Leszek Suchy znajdują wyjście z Sali Kaskad poprzez bardzo ciasny Syfon Muminków (III) i następnie przepływają Syfon Mamuci (IV, o głębokości 14 m, długości 42 m). Wynurzyli się na dnie Komina Kaskaderów, gdzie z góry połową przekroju spada na głowy wodospad. Podczas kolejnej

akcji 7.02.1972 r. Andrzej Płachciński i Wojciech Przybyszewski pokonują wszystkie znane dotąd syfony, wychodzą Kominem Kaskaderów i docierają do Syfonu Warszawiaków (V). Następne nurkowanie odbyło się w lutym 1973 r. Jacek Bzowski, A. Płachciński, W. Przybyszewski docierają ponownie do V Syfonu. Najpierw J. Bzowski i W. Przybyszewski przepływają różnymi drogami do Komory z Grodzą, a następnie A. Płachciński penetruje dolną odnogę Syfonu Warszawiaków, nazwaną Labiryntem. Jest to system łączących się większych i mniejszych komór z licznymi bocznymi odgałęzieniami. Na końcu tego ciągu dotarł do biegnącego poprzecznie Korytarza Beaty. W sumie przepłynął w Labiryncie 70-80 metrów przy głębokości 15-20 metrów. Kolejny postęp w eksploracji uzyskano dopiero 30.12.1978 r. A. Płachciński, Stefan Sowiak i Andrzej Makacewicz docierają do V Syfonu, po czym S. Sowiak, płynąc pod stropem, dociera do Komory z Grodzą (VI Syfon) i dalej po kilkunastu metrach do Dużej Komory (VII Syfon). Kolejną próbę wykonał A. Makacewicz docierając do przejęcia kolejnego, VIII Syfonu. Tu skończyła mu się lina, tak że dostrzegł jeszcze tylko lustro powietrza

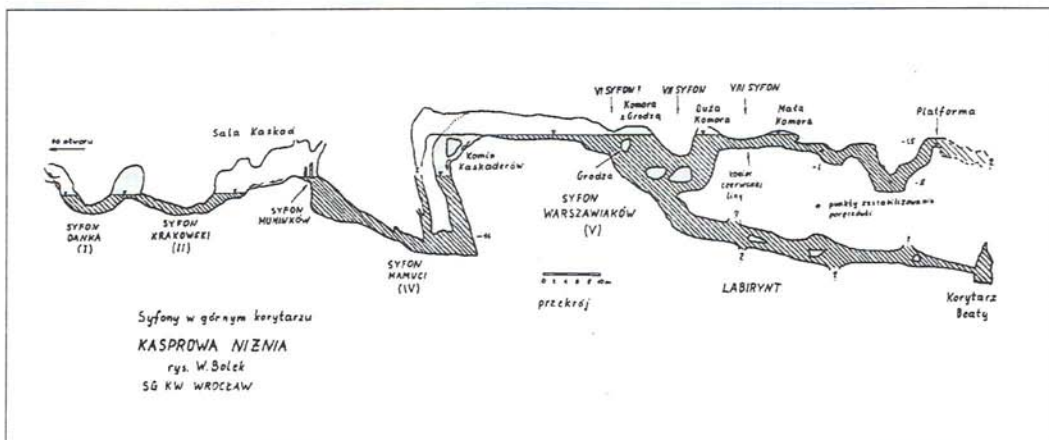
w kolejnej komorze. Przez następne kilkanaście lat nie nastąpił żaden postęp w eksploracji. W syfonach odbywały się tylko nurkowania treningowe, a niektóre zespoły docierały do Komina Kaskaderów.

Tym razem nurkowałem sam. Przebyłem cztery pierwsze Syfony, które znałem już z wcześniejszych wizyt. Komin Kaskaderów udało mi się wyjść z jedną butlą, podczas gdy drugą przełożyłem przez okienko, z którego wylewa się woda. Od Komina Kaskaderów w kierunku Syfonu Warszawiaków biegnie czerwona, poprowadzona podwójnie lina dynamiczna $\phi 10$. Jezioro zaczyna się w stosunkowo wąskim korytarzu. Strop powoli obniża się. Jednak nie dochodzi do lustra wody. Do następnej komory można przepłynąć po powierzchni. To miejsce jest zapewne opisywane w literaturze jako Syfon VI. Jednak tym razem nie był on zamknięty. Cały ten odcinek ma azymut 110° . Dalej strop podnosi się tworząc Komorę z Grodzą. Jezioro jest głębokie, ma 5-6 metrów. Metr może dwa pod powierzchnią wody korytarz jest przedzielony skalnym mostem – grodzą (termin użyty przez W. Przybyszewskiego w latach 70.). Obie żyły liny przechodziły pod grodzą. Jednak o wiele wygodniej jest przepłynąć nad nią. W tym miejscu dowiązałem nową, białą poręczówkę $\phi 4$, oznaczoną żółtymi markerami co 10 metrów. Kierunek powrotu jest oznaczony węzełkiem przed markerem. Na dnie jeziora są z dwa otwory idące w głąb – zapewne wejścia do Labiryntu. Czerwona linia prowadzi natomiast pod stropem przez Syfon VII do Dużej Komory. Jest to obszerna, zalana studnia, która na dnie ma kolejne odgałęzienie do Labiryntu. Na głębokości 1-2 metrów z tej komory odchodzi korytarz w kierunku ESE. Po metrach kończy się czerwona lina, która do tej pory wskazywała drogę. Nie ma na niej węzła i nie jest w żaden sposób zastabilizowana. Pod stropem widać pęcherz powiet-

rza (Mała Komora), jednak skała jest zaledwie 30 cm nad lustrem wody. Korytarz idzie dalej w kierunku południowo-wschodnim, łagodnie opadając w dół. Później jest stromy próg skalny, który sprowadza do podwodnej sali o głębokości -4 m. Na krawędzi progu zastabilizowałem poręczówkę po raz pierwszy. Następną salą była już na głębokości -8 m. Tutaj wykorzystałem żyłętę skalną jako kolejny punkt stabilizujący. Dalej korytarz wznosił się łagodnie, a później stromo, tworząc ostatecznie coś na kształt platformy. Jest to najdalszy punkt osiągnięty podczas eksploracji - 55 m od Komory z Grodzą, z czego około 30 m należy uznać za teren dziewiczy. Koniec poręczówki zastabilizowałem z ciężarka. Z platformy widać jeszcze ok. 10 m korytarza, który łagodnie opada w dół.

Kwestią, którą należy poruszyć na zakończenie, jest nazewnictwo zalanych partii z Kominem Kaskaderów. Sądzę, że dla całego tego ciągu należy zarezerwować nazwę Syfon Warszawiaków (V Syfon). Określenie odcinków między kolejnymi pęcherzami powietrza jako „syfony” chyba nie najlepiej oddaje charakter tych partii. Cały ten fragment można przepłynąć bez wynurzenia, nie zwracając uwagi na to, że wpływa się do kolejnego syfonu. Ważniejszym faktem, z punktu widzenia bezpieczeństwa nurkowania, jest obecność pęcherzy powietrza, które można wykorzystać w sytuacji awaryjnej. Istotna jest informacja, że na przykład na 30. metrze poręczówki istnieje możliwość wynurzenia się. Dlatego nazewnictwo powinno dotyczyć właśnie takich komór. Stąd też nie chciałbym określać korytarza za Małą Komorą jako IX Syfon.

Syfony proponowałbym wydzielać tylko wtedy, gdy wynurzenie się między nimi jest konieczne bądź przynajmniej logicznie uzasadnione. Tak jak to ma miejsce między Syfonem Muminków a Syfonem Mamucim czy między syfonami Danka i Krakowskim.



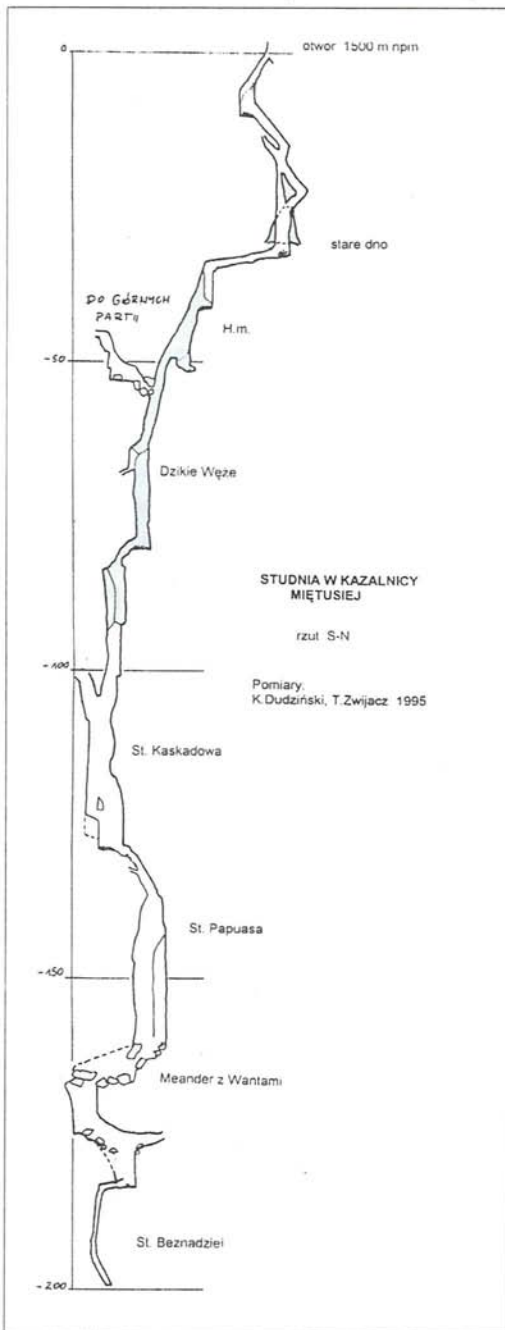
STUDNIA W KAZALNICY MIĘTUSIEJ

W efekcie prowadzonych od 1991 r. prac eksploracyjnych w jaskini Studnia w Kazalnicy Miętusiej w dniach 9-10 grudnia 1995 zostało osiągnięte nowe dno na głębokości 200 m. Z początkiem 1996 r. po kilku akcjach wspinaczkowych jaskinia uzyskała przewyższenie i aktualna deniwelacja wynosi 235 metrów, co stawia ją na 9 pozycji listy najgłębszych jaskiń Polski.

Historia eksploracji jaskini sięga początku lat 70., kiedy to uwagę grotolazów zwrócił silny ciąg powietrza wydobywający się spod grotu walców zalegających dno tzw. Wielkiego Komina w ścianie Kazalnicy Miętusiej. Otwór został odgruzowany po blisko 2-letnich pracach, a pierwszego przejścia w dniach 29-30.09.1973 r. dokonała grupa zakopiańskich grotolazów (B. Kaleciak, S. Miśkowiec, Ch. Parma, M. Pawlikowski, P. Podobiński) związanych z Sekcją Tatarnictwa Jaskiniowego KW Zakopane. I właściwie na tej akcji zakończył się pierwszy etap eksploracji jaskini, której głębokość wynosiła 34 m przy długości ciągu ok. 67 m. Końcowa kilkumetrowej długości i kilkunastocentymetrowej szerokości szczelina nie dawała żadnych szans na przedostanie się dalej. Przez kilka następnych lat prace nielicznych już członków STJ (z początkiem lat 70. sekcja przestała istnieć) wspomaganych przez grotolazów ze Speleoklubu Zakopane zmierzały w kierunku badań przepływów. Miały one na celu zlokalizowanie górnego otworu systemu i przy jego wykorzystaniu dotarcie w głąb masywu. Mimo dużego nakładu sił i zaangażowanego potencjału ludzkiego akcje te nie przyniosły żadnych godnych uwagi efektów.

Koniec lat siedemdziesiątych i cała dekada następna to okres stagnacji w postępie prac w Studni i to głównie z dwóch powodów: braku odpowiednich środków, aby skutecznie eksplorować końcową szczelinę, oraz zamknięcia dostępu do dna jaskini w wyniku powstania w partiach początkowych lodu.

Na skutek przedostawania się do wnętrza jaskini śniegu i późniejszej jego rekrytalizacji poniżej studni wlotowej powstał gruby, zajmujący cały przekrój korytarza korek lodowy uniemożliwiający zupełnie dostanie się niżej. Ta sytuacja sprawiła, że jaskinia przez wiele lat była niedostępna i mało odwiedzana. Gdy 8 sierpnia 1982 r. odbyłem akcję



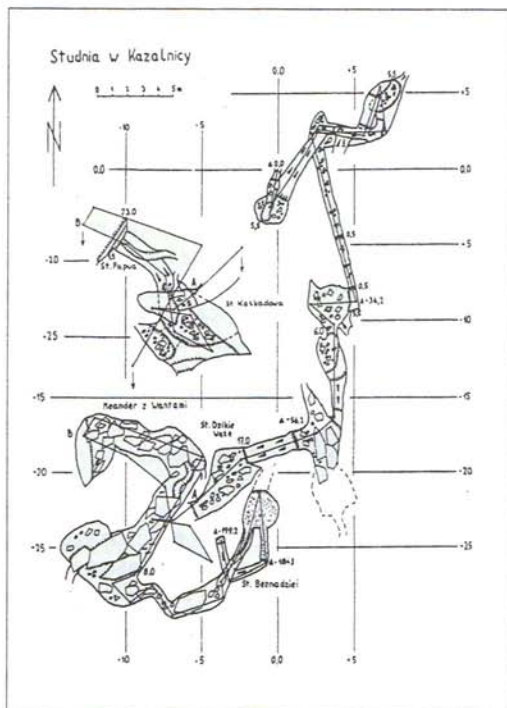
kursową do Studni, przełaz w połowie pochylni był już nie do przejścia.

W roku 1991 postanowiliśmy wraz z pierwszym odkrywcą jaskini S. Miśkowcem wrócić do starego problemu i kontynuować eksplorację. Szybko się jednak okazało, że nie poradzimy sobie tak szybko z korkiem lodowym, który przez 10 lat rozrósł się do dużych rozmiarów. Na nic zdały się próby kucia i wytapiania lodu. Podjęliśmy również próbę obejścia zalodzonego fragmentu pochylni boczną szczeliną, stopniowo ją poszerzając, ale wkrótce z tych prac zrezygnowaliśmy uznając tę drogę za zbyt trudną. Latem 1992 r. postanowiliśmy szczelnie zamknąć otwór na okres zimy, tak by uniemożliwić zasysanie śniegu i zimnego powietrza do wnętrza jaskini. W tym celu został wykonany dość szczelny właz. Z nadejściem wiosny otwór został otwarty po to, by nie utrudniać letniej cyrkulacji powietrza. Podobny manewr został powtórzony jesienią 1993 r. i wiosną 1994 r. W międzyczasie pozostało nam dozorowanie i sprawdzanie stanu lodu, którego jesienią 93 było zdecydowanie mniej niż rok wcześniej. Latem 1994 korek lodowy był już wytopiony prawie całkowicie. Byliśmy w pełni usatysfakcjonowani wynikami eksperymentu. Równocześnie trzeba wyjaśnić, że zmieniając cyrkulację powietrza i usuwając w ten sposób nagromadzony lód nie zmieniliśmy mikroklimatu jaskini, ponieważ pierwotnie jaskinią lodową nie była. W momencie odkrycia i kilka lat później w jaskini nie było ani grama lodu. To w wyniku połączenia wielu sprzyjających czynników lód mógł w jaskini powstać i kumulować się.

Po wytopieniu korka lodowego jeszcze w 1994 r. podjęliśmy prace zmierzające do poszerzenia szczeliny. Równocześnie stwierdziliśmy, że nie zidentyfikowani grotołazi pojawili się w jaskini i rozpoczęli poszerzanie szczeliny końcowej. Wkrótce udało się ustalić, że są to zespoły katowicko-krakowskie pod kierunkiem Z. Rysieckiego, z którym przeprowadziliśmy rozmowę wyjaśniając kwestię naszych praw do problemu. Na uwagę zasługuje honorowa postawa Zbyszka, który co prawda nie bez żalu, ale odstąpił od dalszych prac w jaskini.

Ostatecznie dopiero z początkiem grudnia 1995 szczelina została udrożniona. Za nią system niedużych progów (partie H.M.) wyprowadził nad ładnie mytą 17-metrową studnię Dzikie Węże. Na jej dnie zatrzymało nas niewielkie zawalisko, na którego rozebranie poświęciliśmy kilka godzin. Poniżej otwierała się Studnia Kaskadowa o łącznej głęboko-

ści 50 metrów. Pokonanie studni wymagało sukcesywnego usuwania want i kamieni nagromadzonych na niedużych półkach. Z dna studni fragmentem starego meandra przedostaliśmy się nad kolejną 23-metrową Studnię Papuasa i dalej obszernym Meandrem z Wantami poprzez dwa progi dotarliśmy do małej salki o piaszczystym dnie. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że to już koniec jaskini. Po dokładnym obejrzeniu ścian salki odnalazłem wąską szczelinę, która przechodzi w ciasną 15-metrową Studnię Beznadziei. Ciasne dno studni –



głębokość wg pomiarów 199,3 m – jest zamulone i bez szans na prowadzenie jakichkolwiek prac. Aktualnie wydaje się, że w dół jaskinia nie będzie się kontynuować, chociaż do poziomu bazy erozyjnej pozostało jeszcze ok. 250 metrów. W dniu 31 grudnia 95 został odkryty Sylwestrowy Meander, który doprowadził do partii kontynuujących się w górę. Podczas następnych akcji wyeksplorowane zostały kolejne kominy, których końcówka znajduje się 35 metrów ponad poziomem otworu. Aktualna deniwelacja jaskini wynosi więc 235 m i ok. 700 m długości, w tym 417 m skartowanych. Z pomiarów wynika, że do połączenia z jaskinią Lodową Miętusią pozostało zaledwie kilka metrów. Duże nadzieje wiążemy z dalszą eksploracją jaskini w górę.

Celem następnych akcji będzie znalezienie i eksploatacja ciągów, które pozwolą na połączenie Studni w Kazałnicy z Lodową Mułową i Marmurową. W efekcie tych połączeń mógłby powstać system o deniwelacji ok. 400 metrów.

Jaskinia nie jest udostępniona dla ruchu taternickiego, a eksplorację prowadzi w niej Speleoklub Tatrzański na podstawie specjalnego zezwolenia TPN. Zdeponowany jest w niej sprzęt będący własnością prywatną i korzystanie z niego przez zespoły nielegalnie odwiedzające jaskinię nosi znamiona przestępstwa. W czasie takich wejść dochodzi również do zaśmiecania jaskini, między innymi pojawił się zlasowany karbid w partiach odkrytych w połowie lutego br. W celu uniknięcia nieporozumień wszystkich zainteresowanych jaskinią prosimy o kontakt ze Speleoklubem Tatrzańskim.

W wersji nadesłanej przez autora tekst kończy się polemiką z artykułem W.W. Wiśniewskiego opublikowanym w nr 24 „Optymisty” (1996, s. 38-39). Dotyczy ona kwestii związanych z historią eksploracji jaskini, które, jak się okazuje, budzą wiele emocji. Nie wydaje się nam celowe rozpoczynanie na łamach „Taternika” kolejnej „wojny o Wysoką”, zwłaszcza iż jest nam wiadomym, że w pokonanie szczeliny „końcowej” wkład swój wnieśli również działający okresowo w jaskini grotolazi z Krakowa i Katowic. Nie deprecjonuje to przecież sukcesu zakopiańczyków i na tym stwierdzeniu można by chyba poprzestać. Ponieważ dyskusję otwarto na łamach innego pisma, ewentualnym rozwiązaniem byłoby jej kontynuowanie w tym samym miejscu.

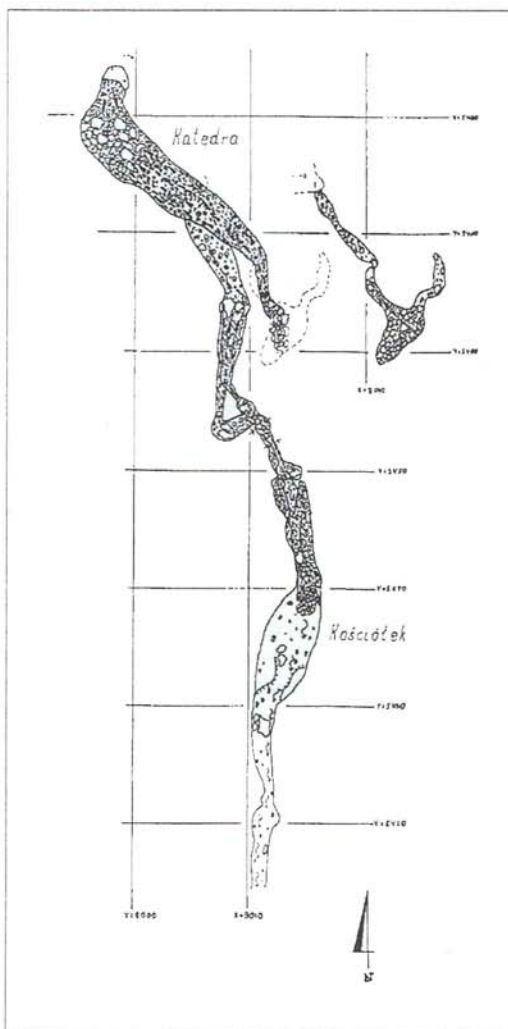
Redakcja

Rafał Mateja

KRÓTKA HISTORIA EKSPLOKACJI W PARTIACH ZA KOLANKIEM

Spośród wszystkich sposobów zdobywania terenu podczas eksploracji chyba najbardziej emocjonujące i wyzwające najwięcej adrenalinę jest pokonywanie wiszących w stropie zawalisk. Zważywszy brak łatwych problemów w naszych tatrzańskich jaskiniach, przekopywanie suchych syfonów i rozbieranie zawalisk może zdecydowanie ożywić eksplorację. Tak też się stało tym razem.

Już od wielu lat członkowie SGKW Wrocław (obecnie SG Wrocław) prowadzili działalność w Systemie Wielkiej Śnieżnej. Również obecnie prowadzone są prace, np. w Przemkowych Partiach i Galerii Krokodyla. Od roku 1988, kiedy to moi starsi koledzy odkryli Partię Za Kolankiem, zaistniała możliwość znalezienia nowego otworu systemu. Opracowanie danych pomiarowych wskazywało bowiem, że partie te najprawdopodobniej wyjdą w południowej części ściany Wielkiej Turni, niewysoko ponad piargami. Perspektywa ta zapewne i wtedy, a na pewno dzisiaj, była bardzo kusząca dla grotolazów organizujących częste, zimowe biwaki w systemie. Wszyscy dobrze wiemy o nierzadko kilkunastometrowej pokrywie śnieżnej pod otworem Śnieżnej, jak i do niedawna o trudnościach z przekopaniem Rury. Inny otwór, położony niżej i zawsze dostępny, bo usytuowany w ścianie, z całą pewnością dodawałby sprzężu objuczonym szpejami biwakowiczom.



Eksploracja z roku 1988 zakończyła się przed wiszącym w stropie zawaliskiem w najbardziej na północ wysuniętej części Partii Za Kolankiem. Maszynowe wanty sklinowane czasem w przedziwny sposób zamknęły przejście dalej. Było pewne jednak, że dalsze partie istnieją. Świadczył o tym bardzo silny przewiew, szczególnie zimą, kiedy miał kierunek do wnętrza jaskini. Było również wiadomo, że do powierzchni jest jeszcze wiele metrów, ponieważ nawet najsroższa zima nie powodowała istotnego obniżenia temperatury na przodku.

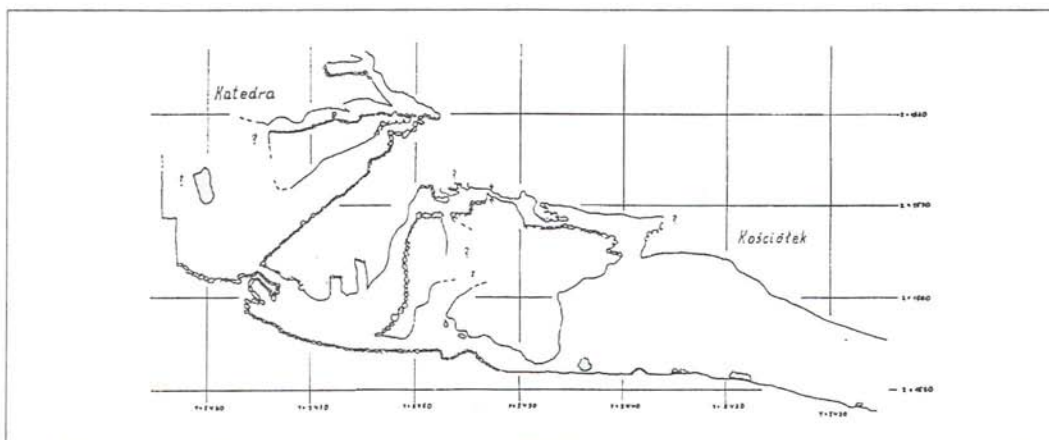
W ostatnich latach dwukrotnie podejmowane były próby namierzenia otworu Partii Za Kolankiem poprzez dymienie. Latem, gdy cyrkulacja powoduje wypychanie powietrza z tej części jaskini, zespół grotolazów udawał się do Kościółka lub prawie przed sam przodek i odpalał świecę dymną o dużej wydajności. Drugi zespół w tym samym czasie miał zadanie obserwacji wycinka ściany Wielkiej Turni, gdzie spodziewano się otworu. Niestety, w obu przypadkach nie zaobserwowano wpływu zadymionego powietrza. Na drugiej akcji bezpośrednim powodem tego był fakt nieodpalenia zamkniętej świecy dymnej. Jednak dlaczego nie dała oczekiwanego rezultatu pierwsza akcja, do niedawna było tajemnicą.

W latach 1992-1994 trzykrotnie udało się nam, grupie młodych grotolazów z SGKW Wrocław i SKTJ Sopot, odwiedzić przodki w Partiach Za Kolankiem. Niestety, prace w tym miejscu nigdy nie były celem głównym biwaków stacjonujących na Suchym Biwaku. Efektem tych odwiedzin było dokończenie eksploracji drugiego piętra szczeliny rozciągającej się nad i za Kościółkiem w kierunku północnym. Prace polegające na wyrwaniu want z ciasnego korytarza doprowadziły do wspomnianego już połączenia przy odkryciu kilkunastu metrów nowego. Podczas ostatniej z tych akcji ponownie zajrzeliśmy na przodek główny. Zainterесowała nas

wtedy mała szpara pomiędzy zaklinowanymi wantami pod samym stropem. Wydawało się, że usuwając sporą jeszcze grupę want można by dotrzeć do miejsca, gdzie strop wydaje się być bardziej lity. Konieczność zakończenia szczyty nie pozwoliła nam tej operacji wykonać. Pozostała jednak świadomość, że istnieje jakaś szansa pokonania tego zawaliska.

Później puścili Przemkowe Partie i przez wiele, wiele miesięcy nie zaglądaliśmy do Partii Za Kolankiem.

Sytuacja się zmieniła pewnego zimowego, bardzo mroźnego poranka. 5 lutego br. wraz z Januszem Szczepańskim (również SG Wrocław) podążyliśmy ku otworowi Śnieżnej. Cel był jasny – przekopać się przez wspomniane już wyżej zawalisko. Najpierw zaatakowaliśmy trochę niżej, niż to ostatnio sobie obmyśliłem. Gra polegała na znalezieniu takiej wanty w stropie, aby ciągnięcie za linę przywiązaną do niej powodowało spadnięcie jak największej liczby sąsiadek. Gra zakończyła się wtedy, gdy na skutek niewielkich drgań wyzwolonych podczas podchodzenia do nowo upatrzonej wanty dochodziło do samoistnego ospawania się gruzu ze stropu. Więcej szczęścia mieliśmy w drugim miejscu. Tak jak przewidywaliśmy, po niedługim czasie posuwania się pod stropem doszliśmy do wielkiej, podłużnej, zaklinowanej wanty. Pod jej osłoną, po pięciu godzinach użerania się z upartymi kamolami wyszliśmy po drugiej stronie, w kominie. Ponieważ wydawał się on podobny do Kościółka, lecz znacznie przekraczał go rozmiarami, otrzymał miano Katedry. Oczywiście nie byliśmy przygotowani do wspinania się żadnym kominem, a już na pewno takim o znacznej, przekraczającej możliwości naszego światła wysokości. Szczelina, dzięki której Katedra została zdobyta, nadal ma azymut południe-północ, więc wspięcie się na górę da nam możliwość dalszego przesuwania się w kierunku ściany, czyli



ewentualnego otworu. Dodatkowo poruszając się w górę z powrotem (na południe) drugim piętrem szczeliny doszliśmy do kolejnego zawaliska. To okazało się bardzo łatwe. Po przebicciu się do salki powyżej niego ponownie zmieniliśmy kierunek na północny. Tym razem dotarliśmy na skraj studni, której z powodu braku sprzętu bliżej nie poznaliśmy. Obecnie wydaje się prawie pewne, że jest to południowy fragment stropu Katedry, jednakże mało prawdopodobna jest możliwość łatwego przetrawersowania na drugą stronę.

Długość nowych ciągów odkrytych na tej akcji wynosiła 74,14 metrów, a spąg Katedry znajduje się na wysokości 1563 m n.p.m. Zakładając, że Katedra będzie miała ok. 25 m., w kierunku północnym do ściany pozostanie 60 m.

Już niedługo planujemy ponownie odwiedzić Katedrę. Mamy nadzieję, że pozostałe do ściany metry uda nam się w miarę szybko wyeksplorować, a jeżeli tak się stanie, to z wielką przyjemnością wszystkich zainteresowanych o tym poinformujemy.

Aleksander Wilk, Adam Potoczek

„Lody z wody” – Stubai

Obóz zorganizowany przez Klub Wysokogórski Kraków trwał od 10-14 lutego 1996 r. Celem wyjazdu były lodospady w dolinach Stubaital, Lusenstal i Pinnistal w okolicach Innsbrucka. Czteroosobowy skład ustalił się w ostatniej chwili: Elżbieta Kalinowska, Adam Potoczek, Aleksander Wilk (wszyscy KW – Kraków) i Wojciech Słowakiewicz (Mysza) z KS Korona.

Start z Krakowa z rannym brzaskiem, by jeszcze za dnia dotrzeć do celu. Zamiarowi temu skutecznie przeciwstawili się funkcjonariusze „nowych i wesołych demokracji”.

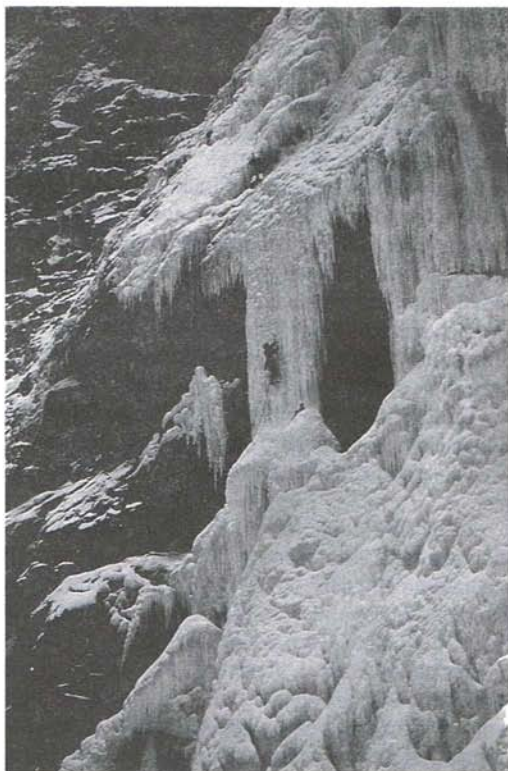
Zakwaterowaliśmy się w malutkiej (2-osobowej) przyczepie campingowej na campingu „Stubai” w miejscowości Neustift. Na szczęście mieliśmy rezerwację. Było trochę (!) ciasno... chałupka ciasna, ale własna.

Następnego dnia wyruszyliśmy na rekonesans, zobaczyć gdzie (i czy?) się znajdują lody. Jadąc dnem doliny wypatrywaliśmy nerwowo zza szyb samochodu zamrożonej w lody wody. Lodospady miały być po obu stronach doliny, gdzieś w zalesionych, bardzo stromych stokach. Byliśmy dodatkowo zaopatrzeni w artykuł z „Rotpunkta”.

- O jest! – dało się słyszeć głos Elżbiety.
- Tu też jest!
- O! i tu też!
- Tam też!

Każdy z nas starał się wypatrzyć lodospad i nie przestraszyć się. Na szczęście były w pewnej odległości od nas.

Na pierwszy ogień wzięliśmy „Grawa Eisfall”. Niewysoki, około 100 m lód, o nachyleniu 50-75°, trudnościach II wg miejscowej, sześciostopniowej skali, w porywach III ze względu na kruchy lód na ostatnim wyciągu. Rekonesans okazał się bardzo



owocny, gdyż oprócz zlokalizowania naszych celów wspinaczkowych sprawdziliśmy wytrzymałość śrub lodowych i lodu na loty. Śmiałą próbę wykonał Wojtek 8-metrowym lotem. Próba się udała, wiara w sprzęt i psycha znacznie się poprawiła. Po pierwszym bogatym we wrażenia dniu stwierdziliśmy, że możemy zaatakować trudniejsze drogi.

„Falbesuner Eisfall” – najdłuższy (220 m) i po słonecznej stronie doliny – lodospad. Trudności IV, nastromienie 70°-90°. Podejście też było długie – 20 minut. Pierwszy wyciąg mokrego lodu (w słońcu) 70°-80°, dwa następne łatwe. Ostatni to rura lodowa obrosnięta pięknymi grzybami lub w innej interpretacji „bardzo wyrośniętymi kalaforami”. Pod spodem płynęła woda. W wielu miejscach przednie zęby raków kapwały się w wodzie po przebicciu cieniutkiej warstwy lodu. Długimi, 80-metrowymi zjazdami zakończyliśmy dzień.

Podejście pod kolejny lodospad prawie jak w górach. Nazwy lodu nie udało się nam ustalić. 80 m lodu o nastromieniu 60°-90° (3 metry 90°), trudności troszkę większe III - IV.

Podobnie można opisać następne dni obozu. Apetyt wzrastał w miarę wspinania. Emocje też wzrastały. A to Alek oberwał dużym kawałem lodu, a to Prezes wykonał piękny i efektowny lot z 15-metrowego pionowego (90°) sopła. Emocje chłodziliśmy wodą ciekącą z lodospadów (czasami obfity prysznic), zimnym piwem lub dla odmiany smaku – czerwonym winem.

W dolinie Lusenstal (na zachód od Innsbrucka) nie zastaliśmy dobrych warunków. Najładniejszy lodospad „Hängenden Garten” był niewkaszalny. Sople z wywieszających się balkonów nie sięgały do dołu. Szkoda. Oprócz tego lodospadu w dolinie jest ich jeszcze kilka, znacznie łatwiejszych. Warto przyjechać się wspinać wcześniej rano, gdyż potem można spotkać duże grupy wspinaczy (też kursowe). Ich działalność pod nami wytwarzała nerwową atmosferę. Przez czyjąś głupotę można zniszczyć przyjazne stosunki międzypaństwowe.

Trzecia dolina, Pinnistal w związku z długim podejściem została nam na deser. Takich lodów w wysokogórskim otoczeniu nie widzieliśmy wcześniej.

Zrobiliśmy lodospad o nazwie „Vorhang”. Jest to pionowa tafla lodu szerokości 30 m, wysokości 70 m i nastromieniu 85°-90°. Całość przypomina uskok Zadniego Mnicha, tyle że w lodzie. Trudności lodowe V, podobieństwo prawie zupełne.

Podobnej klasy i trudności jest jeszcze kilka lodospadów w tej dolinie np.: „Männer ohne nerven” (Mężczyźni bez nerwów), „Gülly”, „Familien-sonntag”. Lód różnej twardości, konsystencji i struktury. Adam z Wojtkiem spróbowali udowodnić, że nerwy mają w porządku. Pewnie tak było, skoro wycofali się spokojnie spod 15-metrowego sopła utworzonego ze zlepionych lodowych warkoczyków. Na osłode zrobili „Familien-sonntag” – przyjemnościowo.

Na zakończenie dnia i obozu odbyli szaleńczą jazdę na sankach, pokonując około 3 km trasę

o różnicy poziomów 300 m w kilkanaście minut. Pyszna zabawa, zwłaszcza że nic ich nie kosztowała, bo poprzedniego dnia znaleźli porzucone w rowie sanki. W ciągu 12 dni pobytu zakosiliśmy 10 lodospadów.



A teraz garść informacji:

1. Sprzęt na zespół:
 - a) lina podwójna 45-50 m (większość powrotów to zjazdy),
 - b) 10-12 rur lodowych (asekuracja i stanowiska w lodzie, także wiszące),
 - c) 2-4 haki, kości (można się obejść),
 - d) 10 ekspresów, 3-4 karabinki,
 - e) 2-4 pętle,
 - f) pętle do zjazdów (zjazdy przeważnie z drzew, kosówki).
2. Koszt wyjazdu na osobę około 660,00 do 700,00 zł (dodatkowe szaleństwa – koszt wzrasta)
3. Noclegi (możliwe warianty wg upodobań):
 - a) namiot w lesie – za darmo (nie wliczono reumatyzmu),
 - b) camping + namiot – możliwość korzystania z urządzeń sanitarnych,
 - c) camping + przyczepa – gaz, prąd, woda, TV, radio – konieczna wcześniejsza rezerwacja. Cena około 150 ATS/dobę/osobę. Przyczepy są ogrzewane gazem.
4. Transport: najlepiej własny samochód, opony zimowe konieczne, a łańcuchy na kołach mogą się przydać. Można korzystać z transportu autobusowego, jest to niezbyt wygodne i niestety drogie.

5. Dla urozmaicenia pobytu można się „zajeżdżić” na nartach zjazdowych i biegowych. Na miejscu można wypożyczyć sanki – 1 dzień kosztuje 60 ATS.
6. Warto wcześniej pojawiać pod lodospadami: my sypimy, a nie na nas.
7. Sklep słynnej firmy STUBAI oferuje głównie sie-

kiery, noże, piły, narzędzia dla drwali, itp. Sprzętu wspinaczkowego jest mniej niż 1% całej oferty.

P.S. Czy lody w Stubai różnią się od tych, które czasami mamy w Tatrach? Właściwie niczym się nie różnią – też są z wody!

Waldemar Soroka
Krzysztof Tarasiewicz

BROAD PEAK '95

Latem 1995 roku Waldemar Soroka i Krzysztof Tarasiewicz (KW Trójmiasto) wzięli udział w Kanadyjskiej Wyprawie na Broad Peak (8047 m). Była to typowo komercyjna wyprawa, na którą zaprosił nas uczestnik wielu polskich wypraw Nick Cienski. Naszym zadaniem było założenie obozów i wprowadzenie membersów na szczyt.

O możliwości udziału w wyprawie dowiedzieliśmy się na 4 tygodnie przed wylotem. Pełni obaw, bez żadnego przygotowania kondycyjnego wyładowaliśmy 7 lipca w Islamabadzie. 17 lipca, po 6 dniach karawany, założyliśmy bazę na wys. 4950 m w sąsiedztwie amerykańskiej wyprawy Scotta Fishera, wypraw: niemieckiej i ukraińskiej.

19 lipca zespół w składzie Nick, Krzysiek i Waldek założyli obóz I (5800 m) i wrócili do bazy. 22.07 po noclegu w obozie I Krzysiek i Waldek zakładają obóz II (6500 m) i schodzą do bazy.

Po 7 dniach intensywnych opadów śniegu 31.07 Nick, Krzysiek i Waldek, uzupełniając pocięte lawinami poręczówki, osiągają zniszczony obóz II. 1 sierpnia zakładają na wys. 7000 obóz III i schodzą do obozu II.

2.08. Cienski, Soroka i Tarasiewicz nocują w obozie III. W międzyczasie zespół kanadyjski aklimatyzuje się w niższych obozach. 3.08 wszyscy są w bazie. Następuje kolejne 6-dniowe załamanie pogody.

12.08. Soroka, Tarasiewicz i 5 Kanadyjczyków po ciężkim torowaniu wykonanym w 100% przez Polaków dochodzą do wys. 7450 m (obóz IV), skąd o godz. 3 nad ranem wychodzą w kierunku szczytu. W. Soroka wychodzi o godz. 6. Całą drogę na przełęcz (7800 m) toruje Tarasiewicz. Ok. godz. 11

wyruszamy całą grupą na szczyt. Wykończony ciężkim torowaniem Tarasiewicz zostaje na przedwierzchołku 8035 m, a pozostali osiągają główny wierzchołek 8047 m.

13 sierpnia w trakcie zejścia ze szczytu nastąpił kilkugodzinny huragan. Był on bezpośrednią przyczyną tragedii na sąsiednim K2, gdzie zginęło 7 osób. W takich warunkach zejście z Broad Peak do obozu IV przy bardzo zdeteriorowanym i mało doświadczonym jednym z Kanadyjczyków, którego asekurował Krzysiek, trwało do północy. Tuż nad obozem IV Krzysiek osunął się z lawiną ok. 150 m. Dzięki pomocy Waldka wypadek zakończył się szczęśliwym doprowadzeniem partnera do obozu IV.

Zwijając wszystkie obozy osiągnęliśmy bazę 16 sierpnia. Trzydniowa karawana powrotna przez przełęcz Gondokhoro 5500 m (być może byliśmy tam pierwszymi Polakami) doprowadziła nas do wsi Hushe pod Masherbrumem, skąd jeepami dotarliśmy do Skardu. Do Warszawy przyjechaliśmy 28 sierpnia.

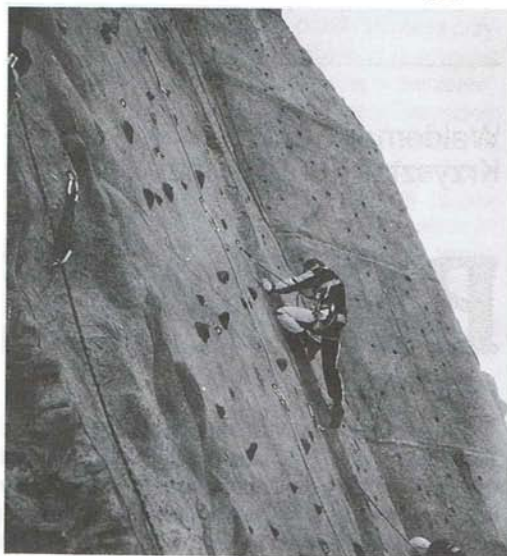
W sumie W. Soroka i K. Tarasiewicz przy pomocy Nicka Cienskiego założyli wszystkie obozy i w dużej mierze je wyposażyli. Torowanie po opadach śniegu również spadło na nasze barki. Fakt, wejście na Broad Peak nie jest dziś wielkim osiągnięciem, jednak nasze uważamy za sukces, a satysfakcja jest tym większa, że wprowadziliśmy pięć osób na szczyt. Kilka drobnych odmrożeń i parę godzin strachu to niezbyt wysoka cena za wejście na wierzchołek było nie było ośmiotysięcznika.

Wspinaczka w Holandii i Belgii

Wspinacz wybierający się z takich czy innych powodów do Holandii nastawia się na przerwę w karierze. Jest to najbardziej płaski kraj Europy. Może prawem kontrastu wspinaczka jest tam znacznie bardziej popularna niż w Polsce. Tylko największy klub – KNAV (Koninklijke Nederlandse Alpen Vereniging, czyli Królewskie Towarzystwo Alpejskie) liczy ok. 40 tys. członków. W praktyce oznacza to, że szukanie partnerów w ciemno ma znacznie większe szanse powodzenia niż u nas. W samej Holandii nie ma skał i trzeba się zadowolić sztucznymi ściankami. Jest ich tam ok. 60. Na ściankach koncentruje się życie towarzyskie wspinaczy. Największe tego typu obiekty, jak np. słynne Centrum Wspinaczkowe „Monte Cervino” („Matterhorn”) w Bergschenhoek niedaleko Rotterdamu, goszczą po kilkaset osób dziennie. Informacje na temat ścianek wspinaczkowych można uzyskać w tamtejszej Informacji Turystycznej (VVV), posiadającej biura w każdej miejscowości. Wspinaczka na sztucznych obiektach w Holandii kosztuje drogę jak na polskie kieszenie. Np. na Ścianie w Veenendaal w prowincji Utrecht (jednej z najtańszych w tym kraju) jednorazowy wstęp kosztuje 8 guldenów, karnet uprawniający do dziesięciokrotnego skorzystania ze ścianki – 70 guldenów, a z uwzględnieniem zniżki dla członków KNAV – 50 guldenów. Dla porównania: jednorazowy bilet do prywatnej, komercyjnej hali wspinaczkowej w Nieuwegein (także niedaleko Utrechtu) kosztuje 18 guldenów.

Chcąc powspinać się w prawdziwej skale, należy wybrać się do Belgii lub do Niemiec. W Ardeny (Belgia) czy do Ith (Niemcy) jest z Holandii bliżej niż z Polski północnej na Jurę. Dojazd w skały samochodem zajmuje 3-4 godz. Istnieją jednak inne kłopoty. Holenderskie firmy ubezpieczeniowe niechętnie ubezpieczają ludzi zajmujących się uprawianiem niebezpiecznych sportów. Do wyjątków należy towarzystwo ANWB. Poza tym ubezpieczenia kosztują drogo. Jeśli ktoś chce spędzić w skałkach więcej niż tydzień, oszczędzi trochę, zapisując się do KNAV. Roczna składka wraz z ubezpieczeniem wynosi 100 guldenów.

Belgia jest krajem daleko idących ograniczeń, jeśli chodzi o wspinaczkę. Skały znajdują się przeważnie na terenach prywatnych i tylko nieliczni właściciele zgadzają się na ich udostępnienie. Legalnie można się wspiąć jedynie we Freyr (w dolinie Mozy, w pobliżu Dinant), Beez i Dave (także



Na „Matterhornie” w Bergschenhoek. (Fot. z kolekcji Piotra Minkiewicza)

nad Mozą, niedaleko Namur), a także w kilku masywach w okolicach miasteczka Sy nad rzeką Ourthe. CAB (Club Alpin Belgique – Belgijski Klub Alpinistyczny) płaci właścicielom za prawo korzystania ze skałek, a odzyskuje pieniądze sprzedając bilety. Ich liczba w ciągu roku jest limitowana. Część z tego limitu Belgowie odstępują Holendrom i Brytyjczykom na podstawie porozumień między CAB a KNAV oraz BMC (British Mountaineering Council).

Najważniejszym rejonem skałkowym na terenie Belgii pełniącym w tym kraju „obowiązek” M-oka i Podlesic jest Freyr. Tam znajdują się największe ściany w Belgii (do 120 m wysokości). Wapienne (podobnie jak w całej belgijskiej części Ardenów) skały są położone na prawym, wschodnim brzegu Mozy (istnieje także wieś oraz zamek Freyr, położone po drugiej stronie rzeki). Można tam dojechać z Dinant drogą N95 (ok. 9 km na południe). Skały nie są widoczne z szosy, która prowadzi wzdłuż górnej krawędzi doliny Mozy. Punktem orientacyjnym może być znajdująca się w pobliżu skał, po lewej stronie drogi (jeśli jedziemy z Dinant) restauracja „Chamonix”. W Dinant jest stacja kolejowa. Z miasteczka można dojechać w skały autobusem (kierunek – Falmignoul), ale połączenia są rzadkie. W rejonie

skął są dwie możliwości noclegu – schronisko CAB oraz pole biwakowe. Cena noclegu w obu miejscach wynosi 100 franków belgijskich. Najnowszy i najlepszy (do 1995 r.) przewodnik po Freyr (G. Miserque, S. Motquin: „Freyr – topographie des rochers” z 1993 r.) zawiera opisy 521 dróg o trudnościach od 3a do 8b. Skala używana w Belgii różni się od francuskiej (w wersji znanej np. z przewodników Kiełkowskich) przy opisie niskich trudności. Belgijskie 3a odpowiada II - III UIAA, 3b - III-III+, 3c - IV-, 4a - IV, 4b - IV - IV+, 4c - IV+ - V-, 5a - V, 5b - V+, 5c - VI - VI. Przy większych trudnościach (6a i więcej) skale używane w Belgii i Francji są tożsame. Prawie wszystkie drogi we Freyr są wyposażone w stałe przeloty co 2,5 - 3 m oraz stanowiska z dwóch punktów. Te ostatnie na większości dróg są rozmieszczone co ok. 25 m, tak, że możliwe są zjazdy przy użyciu podwójnie złożonej liny 50 m. Z wierzchołków skał łatwo jest osiągnąć górną krawędź doliny. Wymieniony powyżej przewodnik jest napisany w języku francuskim, z obszernymi streszczeniami po angielsku, niemiecku i holendersku. Można swobodnie orientować się w ścianach używając wyłącznie schematów rysunkowych. Oczywiście obowiązują w skałkach typowe zasady ochrony przyrody. Nie wolno biwakować na dziko, palić ognisk, śmiecić, niszczyć roślinności itp.

Na razie Polacy nie muszą płacić za wspinaczkę we Freyr, prawdopodobnie dlatego, iż trafiają tam zbyt rzadko, aby komuś opłacało się występować



Skały Freyr (Fot. Piotr Minkiewicz)

z jakimiś roszczeniami. Trzeba tylko mieć z sobą ważną legitymację klubu zrzeszonego w UIAA. Uwaga, ta reguła dotyczy Freyr. W innych rejonach opłaty mogą nas także obowiązywać. Jeśli ktoś chce być w zgodzie z przepisami, powinien na wszelki wypadek zasięgnąć informacji w najbliższym biurze CAB lub KNAV.

Mimo wszystkich ograniczeń nad Mozą jest jednak pięknie. Alternatywą dla Belgii może być Ith (opisane przez Wojtkę Gumulę w „Optymizmie” nr 17), gdzie na razie (1995 r.) nie ma żadnych ograniczeń. Istnieją też piaskowcowe skały w Luksemburgu, ale nie udało mi się uzyskać żadnych informacji na temat możliwości wspinaczkowych w tym kraju.

Nowe obiekty wspinaczkowe

W Krakowie przybył ostatnio jeszcze jeden ośrodek do uprawiania wspinaczki, mianowicie „Reni-Sport” przy ul. Czepca 11 (przystanek przed wiaduktem w Bronowicach, jadąc z centrum tramwajem). Obiekt, mieszczący się w budynku starej kotłowni, dostępny jest dla szerokiej publiczności w godzinach od 16 do 22. Na razie ma ścianki do 7 metrów wysokości i kilkunastu szerokości, ale w planie jest rozbudowa do 1000 m² powierzchni ścian wspinaczkowych. Wstęp odpłatny (2,50 zł). Przedsięwzięcie firmuje Renata Piszczek i współpracownicy.

Tym samym w Krakowie mamy już trzy atrakcyjne obiekty wspinaczkowe pod dachem (jeszcze KS Korona przy ul. Kalwaryjskiej 9, czynna 10-22, oraz wieża spadochronowa w jednostce wojsk desantowych przy ul. Wrocławskiej 82, czynna po połu-

dniu), podczas gdy w Warszawie są tylko dwa. I to na ogół niższe, z tego lub innych względów nie mogące się z krakowskimi równać. Jeden nawet jest dobrze urządzony (w Wyższej Szkole Służby Pożarniczej przy Słowackiego 52/54), ale w praktyce dyskwalifikuje go drastycznie ograniczona dostępność. Drugi zaś jest na razie zbyt skromny i znajduje się w zwykłej sali gimnastycznej (w liceum społecznym przy ul. Nowowiejskiej 5A), ale tylko on jest otwarty dla wszystkich chętnych wspinaczy.

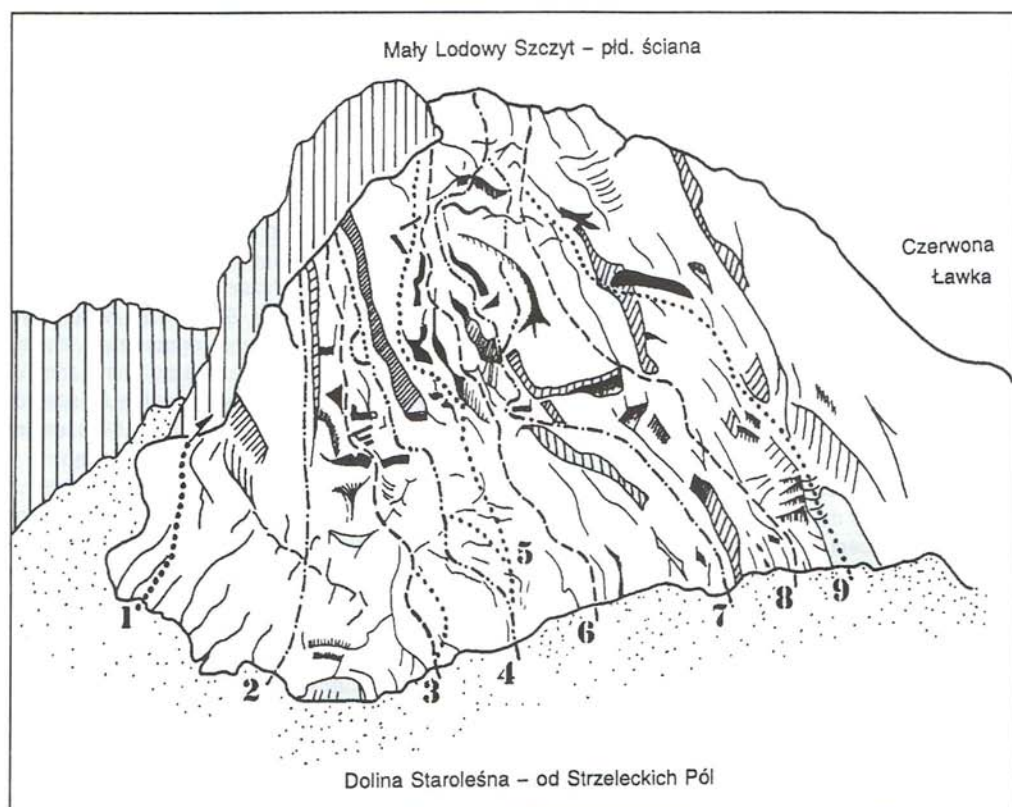
Na marginesie: można by stąd wnioskować, że duża liczba skałek stymuluje dużą liczbę wspinaczy, a to z kolei napędza chętnych do hal wspinaczkowych. W ten sposób miasto najhojniej obdarzone przez naturę ma najwięcej sztucznych obiektów, natomiast z pozoru najbardziej perspektywiczna pod tym względem Warszawa dotąd nie ma obiektu sportowego z prawdziwego zdarzenia. Poprawniej byłoby jednak przyjąć chyba inny wniosek: że na południu kraju po prostu znalazły się konkretne osoby, którym zależało i umiały całą rzecz odpowiednio rozkłębić. GG

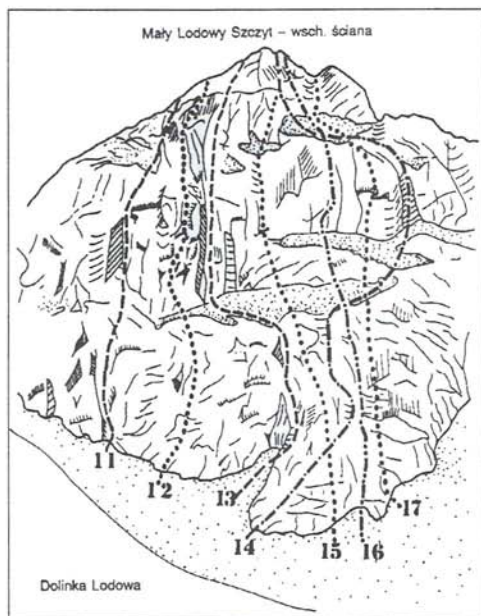
Mały Lodowy Szczyt

Mały Lodowy Szczyt (2461 m), po słowacku Široka Veža, dzięki swojej południowej ścianie, zaliczanej do najpiękniejszych w Tatrach, należy do bardzo często odwiedzanych. Południowa ściana jest popularna nie przez swoją wysokość ani trudności dróg, ale przez rzeźbę i lite skały. Do jej popularności przyczynił się Stanisław Motyka robiąc tu w 1932 roku drogę środkiem ściany, która zapewne figuruje w notesie każdego wspinacza i dlatego można by ją zaliczyć do najbardziej znanych dróg w Tatrach. Również inne drogi na tej ścianie są często powtarzane. Należą do nich: zacięcie Maška (WHP 2491) albo „Czereśniowy filar” Páleníčka.

Wschodnia ściana Małego Lodowego Szczytu

jest mniej popularna od południowej. Opada ona 300-metrowym urwiskiem do Dolinki Lodowej. I jeśli tą ścianą prowadzi dzisiaj tylko siedem dróg i zalicza się ona do mniej znanych, może to być spowodowane tylko tym, że w okolicy schroniska Teryho są możliwości ciekawszych wspinaczek. Np. na Żółtej Ścianie, Pośredniej Grani albo na pobliskich, Jaworowych Szczytach. Drogi wiodące wschodnią ścianą mają przeważnie charakter dróg zimowych. Jeśli będziecie kartkować książkę wyjść w schronisku Teryho, niezdecydowani, gdzie iść się wspinąć, pomyślcie o wschodniej ścianie Małego Lodowego Szczytu, gdzie kilka dróg nie ma jeszcze zimowych powtórzeń.





Ściana wschodnia

- 11 – „Kútom” P. Jackovič, 20.01.1991, V+Ao, 3 godziny
- 12 – „Malý Beňo” Z. Drlik – F. Jamnický – L. Urbanec, 9.01.1979, IV+Ao, 7 godzin
- 13 – M. Faris – J. Sláma, 22.03.1956, V-IV, 2,5 godziny
- 14 – Z. Bruckner – A. Grosz, 29.08.1922, II-III, 2,5 godziny
- 15 – „Prahová depresia” L. Gibas – L. Páleníček, 4.02.1972, IV, 4 godziny. Droga ma prawdopodobnie taki sam przebieg jak przejście zespołu: M. Argaláč – J. Rybanský z 15.09.1963, IV-VI.
- 16 – „Cez Hradbu” V. Jakubec – P. Lešundak, 1987, V–, 5 godzin
- 17 – „Rohová” Jón-Hons, 5.03.1974, IV+, 6 godzin

To już druga monografia Josefa Gurnika z *Poprady*, którą zamieszczamy w „Taterniku”. Josef Gurnik nadesłał jeszcze kilka opracowań znanych tatrzańskich szczytów. Część jest ze schematami ważniejszych dróg. Będziemy je drukować w kolejnych numerach.

Ściana południowa

- 1 – F. Kele młodszy – K. Pálka, 26.08.1951, IV-V, 2 godziny
- 2 – O. Hucký – J. Mašek, 6.08.1945, VI, 4 godziny
- 3 – „Čerešňový pilier” M. Vargová – L. Páleníček, 16.06.1972, V, 3 godziny
- 4 – W. Kulczyński, K. Piotrowski, J. Rotwand, M. Świerż, 31.08.1912, IV, 3 godziny
- 5 – T. Grosz – L. Páleníček, 14.09.1968, V+A1, A2, 5 godzin
- 6 – „Opawská cesta” Bradáč-Huška, 1.10.1977, VI-A3, 9 godzin
- 7 – „Všetko v poriadku” E. Boničová – I. Koller, 18.09.1979, VAo, 4 godziny
- 8 – S. Motyka – J. Sawicki, 23.07.1932, V, 3 godziny
- 9 – „Pánska jízda” F. Došek – V. Komárek – L. Heger – V. Velebný, 19.09.1975, VI, 3 godziny
- 10 – F. Kele młodszy – K. Pavlik, 22.08.1951, IV-V, 1,5 godziny

w pionie

szkoła alpinizmu



Stefan Stefański
i **Szczepan Głogowski**,
instruktorzy P Z A

5~7-dniowe kursy wspinaczkowe na
Jurze Krakowsko - Częstochowskiej
(od marca do października)

14-dniowe kursy tatrzańskie, po których otrzymasz
kartę taternika

adres korespondencyjny:
00-521 Warszawa
ul. Hoża 29/31 m.90
tel.: (0-22) 6294472, 249933
fax.: (0-22) 6359424

baza szkoły:
Rzędkowice 162
41-365 Włodowice
Jura Krakowsko -
Częstochowska

W SPRZĘT WYPOSAŻA NAS W.I.P. - sport WARSZAWA

Tam, gdzie linę zastępuje lina stalowa



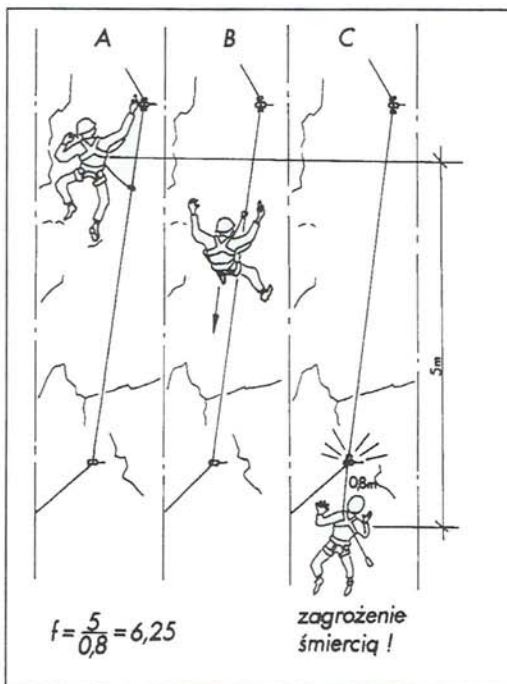
Żelazne percie (via ferrata, Klettersteige) to drogi z wielosetmetrowymi ciągami ubezpieczeń i sztucznych ułatwień w eksponowanym, skalnym terenie. Polacy przebywali je już od wielu lat, lecz do naszej literatury górskiej temat ten wszedł dopiero w 1994 roku.

W krajach alpejskich nie ma wyraźnego podziału na alpinistów i turystów, jak to było do niedawna w Tatrach. W myśl stosowanego podziału sportów górskich przebywanie dróg typu „Klettersteige”, a w zawężonym znaczeniu via ferrate, włączone jest do działalności: „Bergsteigen”, czemu w pewnym stopniu odpowiada słowo: „taternictwo”, gdy tymczasem to, co u nas nazywa się „turystyką górską”, wchodzi w określenie „Bergwanderung” będące wędrowaniem w górach po znakowanych i nie znakowanych szlakach, nie wymagających użycia sprzętu zabezpieczającego.

Niebezpieczeństwa przejścia

Na postawione w artykule: „Via ferrata” „Góry” 11/94, pytanie: Gdzie autoasekuracja jest bezpieczna, jest odpowiedź – na odcinkach poziomych z kotwami w odstępach 1 do 3 m. Prawdziwym problemem, wokół którego toczą się dyskusje, prowadzone są badania i próby zapobieżenia skutkom odpadnięcia, są stromo biegnące odcinki lin stalowych i ich przewinięcia przez przewieszki skalne oraz pionowe i przewieszające się drabiny. Przykładem pierwszym może być via ferrata Ettore Bovero (przewodnik Jana Kiełkowskiego – via ferrate, żelazne percie Dolomitów, s. 99), gdzie pionowe odcinki lin stalowych między kotwami mają dobrze ponad 5 m, a droga przypomina znacznie powiększoną drogę Łazików w skałach bolechowickich pod Krakowem. Przykładem drugim – via ferrata Sentiero delle Scolatte (przewodnik J.K., s. 26 i 27).

W „Ski & Alpinisme” 1995 (został opublikowany w tłumaczeniu na polski w magazynie „Góry” 1995, s. 32 i 33) umieszczone zostały rysunki i tekst wskazujący, że ześlizgnięcie się karabinka od auto-



Rys. 1. Odpadnięcie na stromym odcinku liny stalowej. Narysowany wspinacz ma zestaw samozabezpieczający.

A - moment wpinania lonży i odpadnięcia.

B - ześlizg karabinka po linie stalowej.

C - zderzenie karabinka z kotwą! Możliwość pęknięcia karabinka, zerwania lonży oraz obrażeń wewnętrznych prowadzących do śmierci.

Długość lonży = 0,8 m, upadek 5 m.

asekuracji do niżej osadzonej kotwy mocującej linę stalową już po 2 metrach daje przekroczenie wartości granicznej współczynnika odpadnięcia 2 przy normalnej wspinaczce z asekuracją liną, a tu może przekroczyć nawet wartość 5. Wówczas, jeśli nie dojdzie do zerwania lony i złamania karabinka, to i tak odpadający może doznać bardzo poważnych, przeważnie śmiertelnych, obrażeń wewnętrznych.

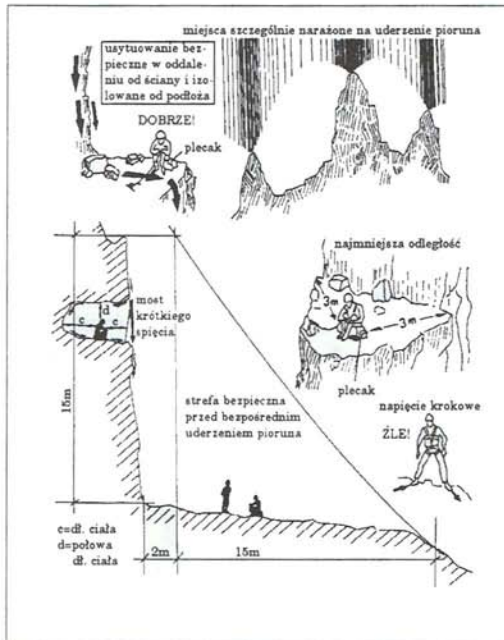
Józef Nyka w „Głosie Seniora” 7/94 przytacza opinię Francuskiej Federacji Górsko-Wspinaczkowej FFME, w której po badaniach stwierdzono: Na eksponowanych fragmentach ferrat jedyną gwarancją bezpieczeństwa jest związanie się liną i poruszanie się jak na drodze wspinaczkowej. Stąd nasuwa się wniosek, że **trudniejsze żelazne percie powinny być przebywane przez osoby z podstawowym przeszkoleniem wspinaczkowym**. Nie posiadający takiego przeszkolenia, doświadczenia wysokogórskiego i z dróg typu via ferrata, muszą rozpoczynać ich przechodzenie w towarzystwie osób dobrze obeznanych z techniką wspinaczkową i drogami tego typu. W przewodnikach poleca się, **aby dzieci i osoby mało sprawne były zawsze asekurowane liną**.

Ciągi ubezpieczeń i sztucznych ułatwień są nieraz przerywane odcinkami bez nich, często również ryzykownymi do przejścia. Może to być teren kruchy z trawkami, śniegiem i lodem lub ze zniszczonymi ubezpieczeniami, jak na drodze 432 z Erichthütte na Hochkönig (2941 m). Przy braku informacji jest to duże zaskoczenie i na coś takiego powinno się być zawsze przygotowanym.

Obecnie przed wejściem w via ferrata są instalowane tablice ostrzegawcze Club Alpino Italiano zwracające wspinaczom uwagę na konieczność kontrolowania stanu ubezpieczeń i sztucznych ułatwień przed ich wykorzystaniem.

Wbrew pozorom niebezpieczeństwo śmiertelnego wypadku w wyniku popełnienia błędu lub nieuwagi jest większe niż na normalnej wspinaczce z asekuracją liną. Jest to uzasadnione specyfiką autoasekuracji. Błąd przy wpięciu karabinka lub nieświadome jego wypięcie z liny stalowej, co często się zdarza, gdy brakuje nawyku prawidłowego wykonywania czynności przepinania i w tym momencie potrącenie przez innego wspinającego się lub samoistne stracenie równowagi od razu może prowadzić do śmiertelnego wypadku. Tak samo przy obciążeniu uszkodzonych lin czy sztucznych ułatwień.

Pit Schubert w książce, „Sicherheit und Risiko in Fels und Eis” na s. 48-49 przyrównuje via ferratę do ogromnego piorunochronu. Skały, piarg, zwietrzeli na i gleba stawiają większy opór elektryczny niż liny stalowe i drabiny. Stąd naładowanie elektryczne



Rys. 2

i wyładowania piorunowe są o wiele intensywniejsze w tych drugich niż w skałach i na powierzchni ziemi. Wyładowanie elektryczne będzie też dalej odprowadzone i jego obszar oddziaływania przez to wzrasta. Wspinający się po via ferratach są bardziej zagrożeni niż w czystych skałach, gdzie uderzenie piorunowe nawet bliskie może wspinacz przetrwać bez szkody, jeśli znalazł się w warunkach pokazanych na rysunku 2. Tymczasem trzymając się liny stalowej albo drabinki nawet w znacznej odległości od wyładowania można być śmiertelnie porażonym. Lecz ta funkcja piorunochronu daje też odwrotny efekt. Pozostając w pewnym oddaleniu od stalowej liny jest się mniej zagrożonym niż w samych skałach.

Krzysztof Kosiński, przewodnik tatrzański, podczas samotnego wspinania się via ferratą Giuseppe Olivieri i Gianni Aglio w masywie Tofany (przewodnik J.K., s. 100-102) w pobliżu Torre Gianni został porażony piorunem, tracąc na moment przytomność. Zawisł na lonych przymocowanych do odcinka liny tworzącej uprząż piersiową. Uczucie silnego bólu w ramionach otrzeźwiło go i samodzielnie powrócił na drogę.

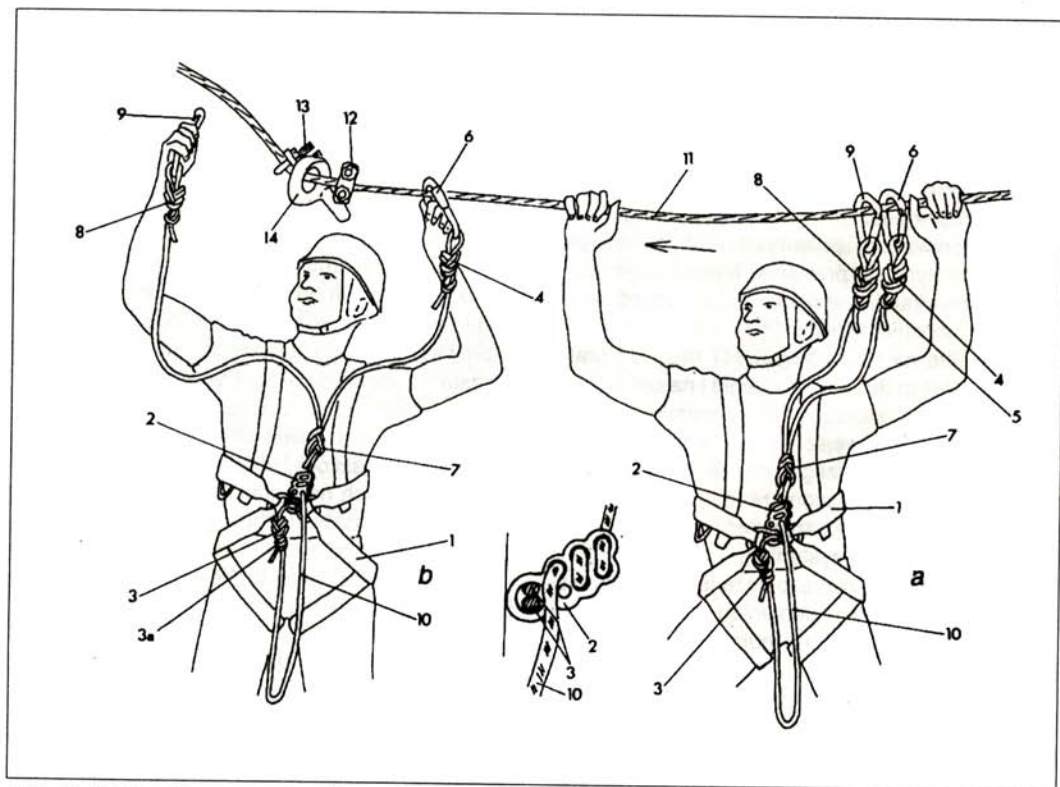
Zaskakiwanie przez burzę, i to nawet w przedpołudniowych godzinach, stawia jako bardzo ważną konieczność informowania się o rozwoju stanu pogody w ciągu dnia, uwzględniając, że 14% prognoz wg Pita Schuberta może być błędnych.

Technika wspinania się na via ferratach

Jan Kiełkowski pisze w przewodniku na stronie 14: Naturalne chwyty nie są niezbędne, bo wszędzie tam, gdzie jest trudniej, mamy poręczówkę! Tak jednak nie powinno być. Lina stalowa i kotwy mają przede wszystkim ubezpieczać, a podciąganie się na linie jest ostatecznością, tam gdzie nie jest się w stanie przejść stosując zasady wspinaczki klasycznej: wykorzystanie chwytów i stopni w skale, zapieranie, klinowanie ręki i stóp itp. Lina stalowa i kotwy oraz sztuczne ułatwienia mogą stanowić jeden z wykorzystywanych elementów, gdy jedną ręką wspinający chwyta się występu w skale, a drugą liny stalowej czy kotwy. Stosując zasadę trzech punktów, znaną z nauki wspinania, zmniejsza się ryzyko i wysiłek. Natomiast trzymanie

się w trudnych miejscach kurczowo obiema rękami liny stalowej utrudnia lub uniemożliwia przejścia. Lonże (Lonża, z języka franc. *la long/e* – powróż, *Słownik Języka Polskiego PWN 1969*, *długa lina używana przy trenowaniu koni - rodzaj żeński*) nie mogą więc być krótkie, lecz takie, aby wyciągniętą ręką można było sięgnąć do karabinka. Pokonywanie przewieszonych odcinków drabin wymaga przyjęcia pozycji jak najmniej wypychającej pomagając sobie łokciem i wolną lonżą wpinaną w szczelbę.

W jednej z grup prowadzonych przez Krzysztofa Kosińskiego były trzy osoby, które z założenia, nawet na trudnych via ferratach, nie przytrzymywały się rękami liny stalowej. Nie zawsze to jest możliwe. Na przykład w najtrudniejszym miejscu na via ferrata Giovanni Lippella z pomocą liny trzeba pokonać skośny trawers po wywieszonej płycie,



Rys. 3. Zestaw do samozabezpieczenia się na via ferrata.

- a - karabinki obu lonży mogą być prowadzone po lince stalowej.
- b - moment przepinania lonży przy mijaniu kotwy, jeden z karabinków musi być zawsze wpięty do liny stalowej.
- 1 - uprząż wspinającego się.
- 2 - płyta hamująca.
- 8, 7, 4, 3 - węzły ósemkowe.

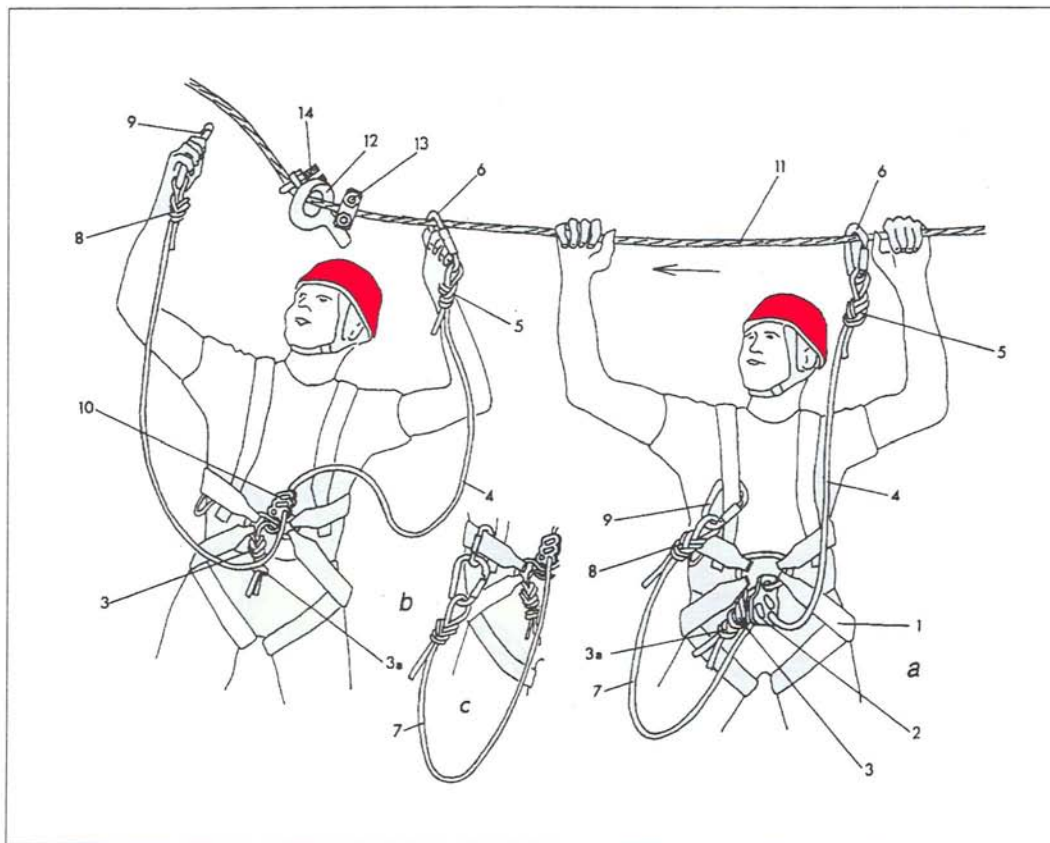
- 5 - dodatkowe zabezpieczenia węzła.
- 6, 9 - karabinki z blokadą zamków.
- 10 - odcinek liny (1-1,2 m) absorbujący energię upadku.
- 11 - lina stalowa.
- 12, 13 - obejmy z zaciskiem, blokujące przesuwanie się liny stalowej.
- 14 - kotwa (może być też ring, hak skalny lub inny element mocujący).

szukając dla stóp oparcia na tarcie, co przy wilgotnej skale jest niełatwe. Również na via ferrata G. Olivieri (przewod. J.K., s. 101) jest trawers w terenie przewieszonym, gdzie trzymając się liny nogi przesuwają się wzdłuż wąskiego gzymsu w wypychającej pozycji, a największą trudnością jest przepinanie karabinków na kotwach.

Obecnie stosowane są trzy możliwe sposoby zabezpieczenia się na via ferrata. Przy użyciu:

1. zestawu pokazanego na rysunku 3,
2. zestawu z płytą hamującą, absorbującą energię odpadnięcia przez przeciągnięcie w jej otworach odcinka liny stanowiącej drugą lonżę, w tym momencie przyzeczoną do upręży (rys. 4),

3. liny asekuracyjnej, którą związany jest zespół. Tu są dwa sposoby. Albo wpinane są przelotowe karabinki do liny stalowej nad kotwami lub wprost do nich i do założonych w razie konieczności kostek i pętli, a zespół posuwa się stosując asekurację stałą lub lotną zależnie od sytuacji w terenie, albo pierwszy wspinacz posiada zestaw samozabezpieczający, a po przejściu odcinka równego wolnej długości liny ściąga do siebie towarzyszy, stosując asekurację HMS (półwyblinka). Tak asekurujące się zespoły spotkaliśmy w Dolomitach. Oczywiście oczekujący powinni założyć sobie autoasekurację z posiadanych przy sobie pętli i karabinków.



Rys. 4. Zestaw 2 do samozabezpieczenia się na via ferrata.

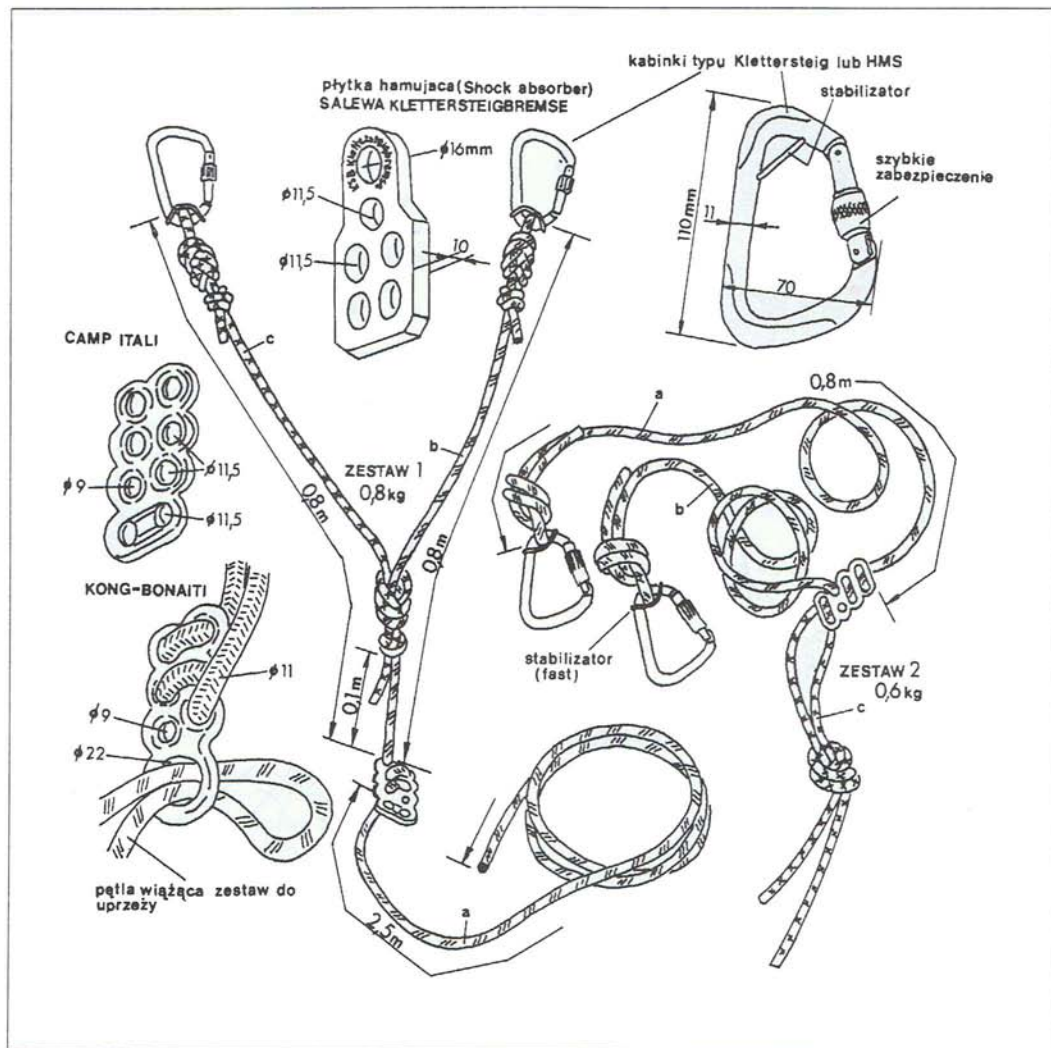
- a - karabinek jednej lony prowadzony jest po lince stalowej. Druga lona przypięta jest karabinkiem do upręży lub wygodniej do dodatkowych zwykłych karabinków przypiętych do upręży (szczegół C).
- b - przy wymijaniu kotwy najpierw wpina się karabinek z nie wykorzystaną lonżą (9), a potem wypina się lonżę pierwszą z liny stalowej i przypina do upręży.

- 1 - uprząż wspinającego się.
- 2, 10 - płyta hamująca (pokazane są dwa rodzaje płytki).
- 3, 5, 8 - węzły ósemkowe z zabezpieczeniem (3a).
- 4, 7 - lony o długości czynnej ok. 0,8 m.
- 6, 9 - karabinki z blokadą zamku.
- 11 - lina stalowa.
- 12 - kotwa.
- 13, 14 - obejmę zaciskającą na linie stalowej.

Pierwszy zestaw (rys. 3) ma tę przewagę, że można zwiększyć bezpieczeństwo prowadząc równocześnie po linie oba karabinki z lonżami oraz odcinek do pochłonięcia energii upadku może być dłuższy.

Zasadą musi być, że do lonży stosowane są karabinki typu Klettersteig z automatycznym szybko otwierającym się zabezpieczeniem ramienia, ewentualnie karabinki z grupy HMS, jak na przykład Stubai HMS-SELFLOCK i Kong-Bonaiti HMS-SCREWMATIC.

Wspinając się po żelaznych perciach jest potrzebna znajomość wiązania i posługiwania się następującymi węzłami: ósemkowym, pojedynczym i podwójnym zderzakowym, wyblinką i półwyblinką oraz węzłami zaciskowymi – Prusikiem i węzłem samozaciskowym do taśmy rurowej, które w razie konieczności mogą być zakładane na stromych odcinkach lin stalowych, lecz nie należy ich przesuwac po nich. Ponadto potrzebna jest umiejętność wiązania pętli z taśmy rurowej.



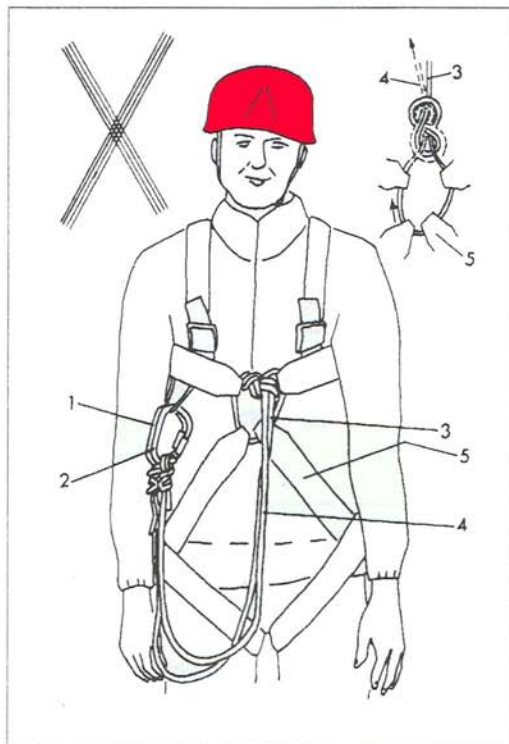
Rys. 5. Aktualnie zalecane zestawy do samozabezpieczenia:

Zestaw 1 - wymaga 6,5 m liny dynamicznej o średnicy 11 mm odcinek a = 2,5, b = 2 m, c = 2 m. Płytki hamująca dobrana z trzech przedstawionych typów. Dwa karabinki typu Klettersteig z szybko zamykanym i otwieranym zatrzaskiem, przy czym czynność powyższa wraz z wpięciem karabinka do liny stalowej powinna być wykonywana jedną ręką.

Zestaw 2 - wymaga 5 m liny dynamicznej o średnicy 11 mm. Odcinek a = 1,7 m, b = 1,7 m, c = 1,4 m. Płytki hamująca i karabinki jak w zestawie 1.

W „DAV Miteillungen” nr 4/84 i „DAV Jahrbuch” 1983/84 opublikowane zostały wyniki badań przeprowadzone przez DAV Sicherheitskreis, który wykazały, że przy ekstremalnie „twardych” upadkach przy których siły hamowania (Bremskräfte) mogą osiągnąć ok. 30KN, a zdolność tłumienia energii upadku przez krótkie odcinki liny stanowiące lonże, jest niewielka, dotychczas używany zestaw samozabezpieczający (rys. 6) jest nieodpowiedni. W odpowiedzi na te badania firma SALEWA, a za nią inne (CAMP, Kong-Bonaiti) zaoferowały wspinającym płytki hamujące (Fang Stossbremse, Klettersteigbremse, Bremsplatte, Shock absorber, Dissipatore, Dissipateur d’énergie), które wprowadzone do zestawów, jak pokazane jest na rysunkach 3 i 4, umożliwiają przejęcie energii upadku przy współczynniku odpadnięcia do wartości 5 i założeniu, że odcinek liny przeciąganej przez płytkę wynosi 1 m. Według firmy SALEWA upadki na via ferratach z większej wysokości niż 5 metrów są już mało prawdopodobne. Firma gwarantuje bezpieczeństwo przy doborze optymalnie odpowiedniego materiału liny, zalecając w katalogach kupowanie całych firmowych zestawów (oznaczenie katalogowe 0660 i 0661). Istotnie bardzo trudno jest dobrać na oko odpowiedni rodzaj liny dla wykonania zestawu, tak aby nie następowało blokowanie i było zachowane prawidłowe hamowanie w płytce.

Podany w przewodniku Jana Kielkowskiego na stronie 15 opis potrzebnego sprzętu nie odpowiada aktualnym zaleceniom z badań i naszemu doświadczeniu. Wbrew temu, co tam zostało napisane, uprząż podwójna piersiowa i siedzeniowa (biodrowa) jest niezbędna, gdyż odpadnięcia są niekontrolowane i dochodzi do zawisnięcia bez możliwości samodzielnego powrotu na drogę, a udzielona pomoc nie musi być natychmiastowa, nawet gdy przebywa się via ferratę w towarzystwie kilku osób. Opisany w przewodniku zestaw nie jest już polecany, o czym było napisane poprzednio (patrz rys. 6). Zakwestionować trzeba też w przewodniku zdanie: „W koniecznych przypadkach możemy zamiast pasa asekuracyjnego związać się pętlą z liny (lub specjalnej taśmy) oraz asekurować się odcinkiem liny z jedną końcówką (jednym karabinkiem) – jest to zawsze autoasekuracja lepsza od żadnej”. Tak pisząc autor może ponosić współodpowiedzialność za czyjś wypadek. Także wbrew temu, co pisze dalej, kask należy do podstawowego wyposażenia na każdej żelaznej perci, gdyż nie można założyć, że nic nie grozi w terenie, przez który przebiega via ferrata, szczególnie że zawsze mogą być tam inni ludzie, a poza tym często uderza



Rys. 6. Nie polecany obecnie zestaw do samozabezpieczenia (autoasekuracji) a via ferrata.

1, 2 – karabinki z blokadą zamków,
3, 4 – lonże utworzone z końcówek liny o długości 4 m, którą węzłem ósemkowym jest związana uprząż wspinającego się (5).

się głową o skałę mając uwagę skoncentrowaną na linie stalowej i sztucznych ułatwieniach. Na Palazza Alta (2255 m) na via ferrata Fiamme Gialle uczestniczka grupy K. Kosińskiego dostała kamieniem, który wybił dziurę w kasku. Bezwzględnie konieczna latarka czołowa obok swojej podstawowej roli umożliwia wezwanie i naprowadzenie ratowników, a tak często zapomina się o zabraniu jej wraz z zapasem baterii!

Skale trudności

W najbardziej znanym przewodniku: Kompass, Klettersteige-Führer Dolomiten - Süd Brenta - Gardaseeberge oraz Dolomiten-Nord, zawierającym łącznie 109 opisów dróg wie ferrata, podana jest trójstopniowa skala trudności: Leichter Klettersteig (o niewielkim ryzyku dla przeciętnych turystów), Schwieriger Klettersteig (dla wprawnych wspinaczy z istniejącym ryzykiem wspinaczkowym) i Beson-

ders schwerer Klettersteig (wymagana wprawa i znajomość techniki wspinaczkowej w stromych wypychających, przewieszonych skałach oraz umiejętność posługiwania się sprzętem wspinaczkowym). Przewodniki i informatory włoskie stosują skalę czterostopniową (gwiazdki), przy czym trzeci stopień odpowiadałby w niektórych wypadkach drugiemu lub trzeciemu z austriackiej skali.

Jan Kiełkowski przyjął w swoim przewodniku skalę trudności włoską, czterostopniową:

x - via ferrata facile (droga łatwa)

xx - via ferrata media (droga średnio trudna)

xxx - via ferrata difficile (droga trudna)

xxxx - via ferrata molto difficile (droga bardzo trudna)

Żelazne percie na mapach

Na włoskich wielkoskalowych mapach turystycznych Tabacco 1:50000, Lagir Alpina 1:25000 i Tabacco 1:25000 drogi typu via ferrata (Klettersteig) znaczone są krzyżykami, jeśli oznakowane w terenie, to kolorem czerwonym, oraz mają zawsze swoje nazwy. Na mapach austriackich Freytag Berndt 1:50000 drogi takie nie są wyróżnione. To samo na mapach Kompass Wanderkarte 1:50000, choć na nowszych arkuszach przy ścieżce oznaczonej kropkami podany jest znak informacyjny, że jest to via ferrata (Gesicherter Steig, rys. 9). Na bardzo szczegółowej austriackiej mapie Alpenvereinkarte w skali 1:25000 Brenta Gruppe zróżnicowane są wszystkie drogi, a drogi Klettersteig zaznaczone są przerywanymi kreskami z oznaczeniem miejsc z drabinkami, lecz na innych arkuszach tej mapy z terenu Austrii tego wyróżnienia już nie ma. Na mapach niemieckich Bayerisches Landesvermessungsamt, München w skali 1:50000 i R.V. Verlag (Regio Cart) 1:30000 z rejonu Zugspitze wyróżnione są drogi Klettersteige kropkami, lecz ze względu na szersze znaczenie tego określenia nie jest możliwe na podstawie mapy ustalenie, czy któraś z tych dróg faktycznie jest via ferrata.

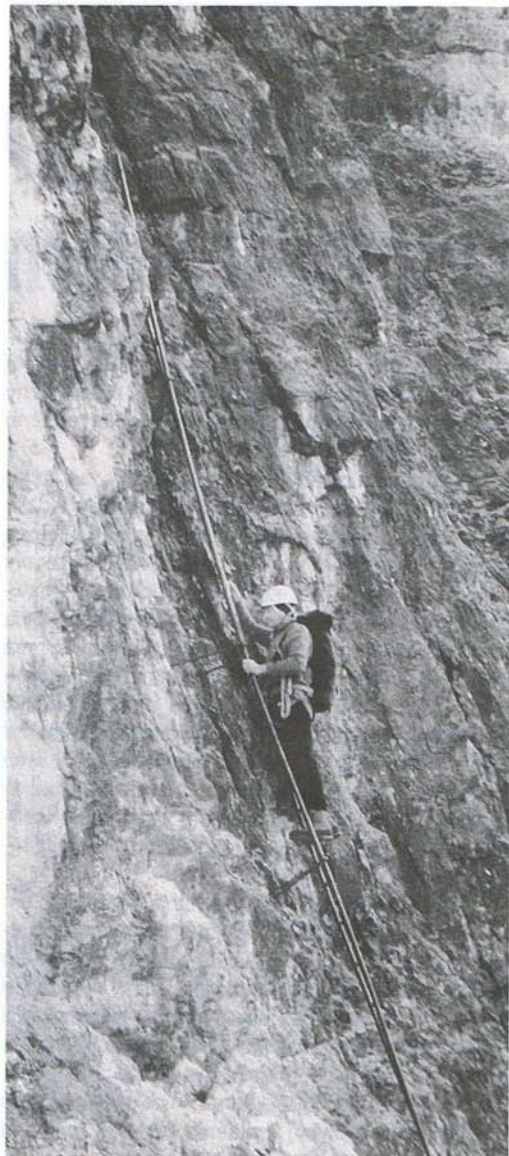
W przewodniku monograficznym Richarda Goe-deke i Hansa Kammera: „Il tremile delle Dolomiti”, wyd. Tappeiner Editore SRL, Germany 1993 (jest w sprzedaży też wersja niemieckojęzyczna) opisującym wszystkie trzytysięczne szczyty Dolomitów, na mapach masywów górskich via ferrata oznaczone są kropkami czerwonymi.

Przypuszczam, że wielu naszych taterników wspinających się od lat w Dolomitach miało okazję zetknąć się z tymi drogami. Celem samym w sobie stały się od momentu, kiedy rozpoczęło się organizowanie dla ich przechodzenia wyjazdów grupowych, czy to w ramach klubów, czy biur podróży. Przykładem może być wyprawa Klubu Turystyki Wysokogórskiej GLOB w Dolomity i Dolomity Brenta, o czym notatka znajduje się w „Optymiście” nr 21/95 s. 4. Ale najbardziej systematycznym organizatorem jest dr Krzysztof Kosiński, taternik i przewodnik tatrzański, działający przy Krakowskim Oddziale Polskiego Towarzystwa Nauk o Ziemi i jej Sekcji Taternickiej. Ten przewodnik K.K.P.T. im. Sieczki ma za sobą największą liczbą przebytych via ferrata i to wielokrotnie. Organizuje wyjazdy dwukrotnie w ciągu lata od 1986 roku. Zdarzają się też wyjazdy całkowicie prywatne, jak na przykład Marka Kundegórskiego i Pawła Kamionki, przewodników z AKPT Kraków i taterników, w 1989 roku. Przeszli oni kilka najtrudniejszych, jak via ferrata Cesare Piazzeta w masywie Sella, gdzie stwierdzają, że duże problemy były z przejściem pierwszych 4 do 5 m, do pierwszego przelotu, na początku drogi oraz pionowej ścianki bez ubezpieczeń w skali V. Następne to via ferrata A. Tissi w masywie Civetta, gdzie jest około 500 m ciekawej, dość trudnej wspinaczki, ubezpieczenia bardzo dobre, tylko dojście do drogi z Forc. delle Sasse (2476 m) zagrożone jest spadającymi kamieniami. Wreszcie najtrudniejsza w Dolomitach, bardzo eksponowana via ferrata Gianni Costantini w masywie Moiazza (przewod. J.K. s. 123) ze schroniska B. Carestiano, z miejscami IV i V bez ubezpieczeń. W połowie drogi wysłizgany trawers, trzeba wisieć na rękach i nie bać się. Świetne bivacco Moizza na Forc. delle Nevere. Także przeszli nieco łatwiejsze od tych: via ferrata Stella Alpini w masywie Mont Agniér (2872 m) oraz via ferrata Eolver Lugli (ok. 2 godz.) doprowadzająca do bivacco Fiamme Gialle (3005 m), skąd weszli na Cimon della Pala (3184 m) drogą o trudnościach III i IV, obecnie już ubezpieczoną linami stalowymi.

O doświadczeniu i znajomości rzeczy wyjeżdżających i organizatorów trudno się wypowiadać, ale tym tematem w zakresie szkolenia, a może nawet prowadzenia grup wzorem z Alp, powinni się zainteresować także instruktorzy PZA, gdyż leży to w zakresie ich działania, szczególnie traktujący to zawodowo. Oczywiście, jak każda umiejętność i ta wymaga praktycznego opanowania.

Emanuel Hornowski, przewodnik tatrzański i instruktor PZA z Zakopanego, który już raz wspinał się po żelaznych perciach, ale zbyt łatwych, jak uznał, zwrócił się o wytypowanie takich, które by na nim zrobiły wrażenie! Oczywiście, te trudne i bardzo trudne mają największą szansę, lecz jest to sprawa bardzo indywidualna i zależna od tylu czynników subiektywnych i obiektywnych. Na moją prośbę Krzysztof Kosiński wytypował piętnaście interesujących *via ferrata*:

1. Cesare Piazzeta, Piz Boé, Sella Gruppe, b. trud. (przewodn. J.K., s. 95).
2. Cesco Tomaselli, Fanis, b. trud. (przewod. J.K., s. 95).
3. Aglio-Olivieri, Tofana, b. trudna (przewod. J.K., s. 101 i 102).
4. Giovanni Lipella, Tofana, trudna (przewod. J.K., s. 105).
5. Mëlsules, Possnecker, Piz Selva, Sella Gruppe, trudna.
6. Attilia Tissi, Civetta, b. trudna (przewod. J.K., s. 120).
7. Alleghesi, Civetta, trudna (przewod. J.K., s. 118).
8. Gianni Constantini Moiazza, b. trudna (przewod. J.K., s. 123).
9. Fiamme Gialle-Real, Pale di San Martino, trudna.
10. Tridentina Ponte Aero, Sella Gruppe, średn. trudna, w górze trudna.
11. Marino Bianchi, Cristallo, trudna (przewod. J.K., s. 58).
12. Bolver Lugli i Cimon della Pala, Pale di San Martino, b. trudna.
13. Stella Alpina, M. Agniér, Pale di San Martino, b. trudna.
14. Eterna, Punta Serauta – Marmolada, b. trudna.
15. Ettore Bovero, Col Rosa (2166 m), Tofana, trudna (przewod. J.K., s. 99).



*Jerzy Wala na drabinie na via ferrata
M. Strobel na Punta Fiammes.*

Na pewno dałoby się wybrać również interesujący inny zestaw, szczególnie gdyby uwzględnić różne grupy górskie Alp. Godne polecenia jest na przykład wejście na Hoher Dachstein (2995 m) w Austrii. Ze schroniska Adamek Hütte przez Grosser Gosaugletscher i zachodnią granią, z zejściem północno-wschodnią flanką na Hallstätter Gletscher i powrót przez Steinerscharte (2721 m) na lodowiec Gosau. W lecie przez wszystkie odcinki skalne prowadzą niedługie, średnio trudne *via ferraty*, z tarasu poniżej wspomnianej przełączki też przewieszona drabina, potrzebna jest lina i raki oraz czekany. W zimie czy na wiosnę jest to ciekawa, wielo-

godzinna wspinaczka dla wprawnych taterników. To okążenie można też przeprowadzić ze schroniska Simony Hütte, usytuowanego poniżej lodowca Hallstätter.

Na zakończenie tego artykułu chcę zachęcić szczególnie „emerytów taternictwa”, aby jeszcze próbowali swoich sił na żelaznych perciach. Będą to przeżycia równie ekscytujące jak w młodości!

<http://pza.org.pl>

O sprawie tatarników w „Polityce”

„Polityka” z 27 kwietnia 1996 (nr 17, s. 72-74) przynosi tekst **Joanny Podgórskiej**, poświęcony słynnemu „procesowi tatarników”, ciągnącemu się przez 9 miesięcy 1970 roku.

Mniej zorientowanym trzeba wyjaśnić, że samo tatarnictwo miało tu raczej mało do rzeczy, chodziło bardziej o Tatry jako o miejsce, gdzie przez „zieloną granicę” przeniesiono kilka paczek z książkami i maszynopisami, siłą rzeczy przy pomocy znawców tego terenu. Można ryzykować opinię, że była to sprawa „wariantowo” przygotowywana przez władzę ówczesnej PRL dla jakichś zasadniczych manipulacji politycznych – być może chodziło o zneutralizowanie coraz wnikliwszej krytyki marca 68, a jednocześnie skompromitowanie w oczach społeczeństwa opiniotwórczych środowisk emigracyjnych z kręgu paryskiej „Kultury” i załączków krajowej opozycji, określanych jako „wrogich inteligentów, rewizjonistów” itp.

Dość powiedzieć, że w dowolnie przedłużanym śledztwie konfrontowano z sobą sporo nie znających się przedtem osób, jak się wydaje, z dwu albo trzech niezależnych środowisk, zaś wspinać w całej dotkniętej procesem grupie nie stanowili większości. Ale tatarnictwo nieźle chyba pasowało do policyjnego scenariusza (wyjazdy, paszporty, kontakty na Zachodzie oraz owo nieszczęsne przejście przez Rysy) i właśnie relacje z tytułami mówiącymi o „procesie tatarników” ukazywały się w ówczesnej prasie. Na dłuższą jednak metę propagandowo nagłaśniana sprawa przysłużyła się ówczesnym władzom jakby tylko połowicznie, bo zbyt szeroko informowała opinię publiczną o tym, czym zajmuje się i że w ogóle istnieje paryska „Kultura” i Jerzy Giedroyc. Siłą rozpędu skończyło się na wyrokach dość surowych, na ogół podważających okres przetrzymywania podejrzanych w więzieniu. Oznacza to, że pięć osób przesiedziało 2-3 lata, do końca nie bardzo wiedząc, za co. Jak się okazało, czasem tylko za przekazanie kilku książek najwybitniejszych polskich autorów, tyle że świeżo emigrujących z kraju – i było to nawet jak na tamte czasy niesłychane. Pierwszy raz od czasów staliniz-

mu i październikowej „odwilży” władza na taką skalę i tak surowo karała za samo literackie słowo drukowane. Dwie dalsze zamieszczone w sam prze rzut przez góry osoby wydzielono do odrębnego procesu, ale w międzyczasie nastąpił grudzień 1970 i odnowiona władza całej afery już nie potrzebowała.

Schemat postępowania w przygotowaniu procesu (opisany później) polegał na przetrzymywaniu dużej liczby osób z pewnego kręgu i zgromadzeniu takiej ilości zeznań, że zawsze dawało się do nich dopasować jakieś wygodne dla oskarżenia wątki, zaś sędziowie, nawet gdyby chcieli w coś wnikać, to mieli się w dziesiątkach tomów akt pogubić.

W toku „dochodzenia” niektórzy nie wytrzymali presji i sprawili czasem sobie, a częściej innym spore kłopoty, sami zyskując niewiele – ale przynajmniej, był to czas, kiedy w wielu kręgach na ogół jeszcze nie wiadano, jak się zachować wpadając w ręce ówczesnej władzy, dowolnie dysponującej i utrzymującej płynne granice pomiędzy aparatem ścigania i wymiarem sprawiedliwości.

Oprócz żalu i skłócenia pozostało jednak wiele pozytywnych i przydatnych doświadczeń, między innymi właśnie mówiących o tym, jak się nie zachowywać wobec policji politycznej. Kilka osób wyemigrowało – część w obawie przed procesem, a część dopiero po wyjściu z więzienia, czyli po 1970 lub 1971 roku. Ale z kolei podobno inna, dotąd z górami nie związana osoba, wkrótce potem zaczęła się wspinać.

Dzisiaj nie sposób wywodzić najnowszych dziejów Polski bez marca 1968 i najgłośniejszego z procesów pomarcowych „sprawy tatarników” jako pewnego symbolu metod ówczesnej władzy. Każde więc głębsze opracowanie musi zawierać hasło „tatarnicy”, które tym samym w zaszczepnym wręcz kontekście wpisuje się w najnowszą historię Polski. Ze względu na nośność słów ma to przecież swoje konsekwencje i chyba nie przypadkiem pojawiła się później w pewnych środowiskach niejaka moda na bycie tatarnikiem (i studentem, najlepiej uniwersytetu). Ale warto skromnie pamiętać, że chodziło

bardziej o wolność słowa pisanego niż o wspinanie, a tytuł symbolicznego procesu pochodzi raczej od policji.

Jest jednak zrozumiałe i oczywiste, że „Taternik” – gdy już wreszcie można – chce wszelkie publikacje o sprawie odnotowywać.

Sam tekst w „Polityce” wydaje się bardzo wyważony, godzi się też docenić powściągliwość sformułowań dotyczących dwóch kluczowych w sprawie tzw. „kontrowersyjnych postaci” (umiaru tego czasem brakuje mało zorientowanym środowiskowym felietonistom, powielającym zasłyszane opinie i frazesy). Szczegóły i subtelności artykułu mogą jednak ocenić chyba tylko osoby bardzo blisko ze sprawą związane, bo wygląda na to, że opiera się on głównie na rozmowach z dwojgiem jedynych obecnych dziś w kraju skazanych.

Wypada bowiem tu stwierdzić, że „proces taterników” nie ma dotąd swojego należytego, współczesnego opisanie w druku (istnieje tylko „szkoleniowe” opracowanie na użytek wewnętrzny ówczesnego MSW, zaś dwa lata temu część materiałów archiwalnych eksponowano na wystawie „W kręgu paryskiej »Kultury«” w Muzeum Literatury w Warszawie). W wielu jednak wspomnieniach spotkać można drobne, pełne niedomówień napomknienia o sprawie i o konsekwencjach towarzyszących jej wydarzeń.

Samo natomiast ogólne tło, klimat, mechanizmy manipulacji ciekawie opisać – najbardziej świadom metod władzy i zarazem najmocniej dotknięty przebiegiem wydarzeń, choć taternikiem nie będący, „dopisany” do procesu chyba ze względu na swą współpracę z „Kulturą” – socjolog **Jakub Karpiński** w swojej znakomitej książce „**Taternictwo nizinne**”, wydanej w 1988 roku przez Instytut Literacki w Paryżu i w tym samym roku przedrukowanej w podziemnym „Głosie”.

W uzupełnieniu zaś artykułu „Polityki” nasuwa się i taka uwaga, że być może miałyby też spory sens bliższe poznanie ściśle środowiskowo-taternickich aspektów sprawy. Choćby to, że niewątpliwie wpłynęła ona na wyprawę na Malubiting z 1969 roku, bo jej skład tuż przed wyjazdem zredukowano niemal o połowę, wstrzymując paszporty trzem uczestnikom, w tym pierwotnemu kierownikowi (nb. prześledźmy owe przemilczenia, a później coraz mniej enigmatyczne dwuznaczności pojawiające się w albumach).

Przede wszystkim jednak proces i jego konsekwencje wpłynęły na emigrację lub zachwianie górkimi życiorysami takich wspinaczy, jak ówczesna gwiazda pierwszej wielkości naszego alpinizmu Andrzej Mróz czy niemal równie wtedy dobry Maciej Kozłowski, a także Marek Głogoczowski i kilku innych wybitnych taterników. Jeszcze większe gro- no, choć ucierpiało stosunkowo niewiele, było na tyle blisko sprawy, że mogło sporo zrozumieć ze sposobu działania ówczesnej władzy i propagandy.

Uczestnicy wydarzeń na ogół o tym milczą, bo przecież do niedawna były po temu zasadnicze ustrojowe powody. Może też jednak chodzić i o to, że spora liczba osób, w tym również wspinaczy, delikatnie mówiąc nie wykazała się dostateczną odpornością i wyobraźnią, dając sobą manipulować i mimowolnie dostarczając materiału, który posłużył do wrabiania innych. Ale nie powinni sądzić ówczesnych nacisków ci, co nie znają tamtych czasów, gdy nie wiadomo było, do czego jest zdolna ówczesna władza, sięgająca właśnie po „nowe metody”. Dziś, po 25 latach, chyba mamy do czynienia raczej z „wprawą w powściągnięciu języka” niż z uzasadnionymi obawami oraz skutkami upływu czasu, tak samo jak np. w przypadku działalności polskiego podziemia zaraz po 1945 r., wciąż dramatycznie mało znanej.

Rzecz nie ma jednak tylko wymiaru środowiskowego czy historycznego – chyba także i ogólne okoliczności każą dziś przypominać (a może jednak już znów ukrywać?) szczegóły i niuanse tamtej sprawy. Pokazują one, skąd biorą się pewne techniki manipulacji, publicystyczne oburzenie zamiast odpowiedzi na proste pytania oraz takie planowe przeciąganie i rozmywanie spraw, mieszanie bezspornych faktów z niedorzecznościami, żeby na tak „przygotowanym gruncie” dało się serwować opinii publicznej możliwie wiele scenariuszy, z których dopiero na końcu wybierze się chwilowo najwygodniejszy.

Z montowanymi „wariantami” działań i „eksperymentami policyjnymi” totalitarnej władzy ludzie naszego środowiska mieli do czynienia także wcześniej i później. Czasem w wersji niemal zabawnej (oczywiście nie dla tych, którzy siedzieli lub stracili pracę), niekiedy zaś nawet ze skutkiem śmiertelnym (ostatnio w 1988 roku, z przerywaniem i gmatwaniem wymykającego się spod kontroli procesu). Zagadkowe są też zaginięcia niektórych taterników zaraz po wojnie, m.in. zdobywcy Nanda Devi East, w Warszawie – o co upomniano się dopiero niedawno i jakby zbyt nieśmiało, już po 1989 roku.

„Etyka szkockiej zimy”

Osobisty pogląd SIMONA RICHARDSONA

Zimowy sezon wspinaczkowy w 1988 r. rozpoczął się nadspodziewanie wcześnie. Ku wielkiej uciechę zatwardziałych wspinaczy zimowych październikowa zamieć pokryła wzgórze Cairngorm świeżym śniegiem. Spragnieni wspinania Geoff Hornby i ja wyruszyliśmy przed świtem kierując się do samotnego Coire Sputan Dearg na Beinn Macdui. Powyżej Glen Derry był głęboki śnieg, co spowodowało, że do wyczerpującego trzygodzinnego zwykłego marszu trzeba było dodać tym razem jeszcze godzinę. Nasze wysiłki zostały jednak należycie nagrodzone, bowiem turf (trawki) był dobrze zamrożony i całe urwisko pokryte białym, świeżym śniegiem. Celem naszym było zimowe przejście letniej linii na Black Tower - a Sewere zrobionej przez Patey, Leslie i Taylor w 1952 roku. W przewodniku Cairngorm opisana była jako szpiczasta, skręcona turnia z osobiwym czworobocznym głazem skalnym na szczycie, przypominający słynne Iglice Chamonix. Geoff był stosunkowo słabo obeznany z tajnikami mikstowego wspinania, dlatego ja poprowadziłem komino-depresję. Następnie Geoff ruszył na pochyłą płytę, jednak zrezygnował widząc ostro wybrzuszony ryse, która jest kluczowym miejscem w lecie. Zszedł kawalek, założył stanowisko i pozwolił, abym ja poprowadził. Rozwiązałem ten problem wbijając grubą v-kę po ucho, w bardzo niewygodnej, męczącej pozycji. Gdy udało mi się to zrobić, poczułem się nieśmiertelny. Wpiąłem się bardzo delikatnie na przewieszkę, a potem klinując czekany w stromej szczelinie „przebułowałem” ją wchodząc na lewy filar turnicy szczytowej. Kiedy Geoff dotarł do tych trudności, zdał sobie sprawę, że wybicie tej grubej v-ki nieuchronnie zniszczy skałę, więc zrezygnował z jej wybicia. Skończyliśmy, wspinanie granią dochodzącą do plateau. Zapadł zmrok. Rozpoczęliśmy długi powrotny marsz.

V-ka, która została w kluczowym miejscu drogi, nie dawała mi spokoju. Zmieniła ona charakter zarówno letniej, jak i zimowej drogi ułatwiając ją znacznie. Sądzę, że hak nie był wcale konieczny, ponieważ przy odrobinie wysiłku można było dopasować kostkę. W rezultacie klasyczna droga Cairngorm została zniszczona i zdegradowana.

W 1991 roku w odpowiedzi na zdarzenia podobne do powyższego Szkocka Rada Wspinaczkowa wydała projekt aktu o ochronie letnich dróg robionych zimą. Zalecał on, by nie używać haków w czasie zimowych przejść klasycznych skalnych dróg, stosując w zamian naturalny sprzęt (kostki, friendly, flexy), po to by ograniczyć zniszczenie skały i zapewnić przyszłą radość letniej wspinaczki. Niestety, projekt ten otrzymał minimalne poparcie ze strony aktywnych „zimowych” wspinaczy. Główną przeszkodą był fakt, że haki są najodpowiedniejszym sposobem asekuracji w zalodzonych szczelinach i rysach. Jest to bez wątpienia prawda, lecz prawdą jest również to, że przejścia trudnych, zimowych dróg bez użycia haków są także możliwe. Dla przykładu: w 1988 roku Tut Braithwaite i Ian Carr świadomie postanowili nie używać haków podczas pierwszego zimowego przejścia drogi Longland's Climb on Cloggy.

Kolejnym zagadnieniem jest nadanie przejściom bez używania haków takiego samego znaczenia jak pierwszym klasycznym przejściom. Kwestia przechodzenia letnich dróg zimą została podjęta na corocznym spotkaniu zarządu Szkockiego Klubu Wysokogórskiego ostatniego grudnia 1995 roku. Krótka, lecz bardzo ożywiona dyskusja została podsumowana przez Roba Milne'a stwierdzeniem, że dobrzy fachowcy nie robią zniszczeń w środowisku skalnym. Jest wiele prawdy w tym stwierdzeniu, bowiem ciężka zimowa, mikstowa wspinaczka wymaga precyzji i dużych umiejętności. Natomiast nie kontrolowane walenie rakami i czekanami nie doprowadzi zbyt daleko. Debatę zarządu spowodowały zrobione ostatnio zimą przejścia klasycznych skalnych dróg. Najbardziej znanym przykładem było przejście zimowe Punster's Crack na The Cobbler przez Marka Garthwaite'a i Andy Clarke'a. Droga była pokryta świeżym puchem, a ryzykowny i kiepsko zabezpieczony górny wyciąg musiał być do tego pracowicie oczyszczony, chwyt za chwyt, co w pełni uzasadniało ocenę drogi na VI,8.

Podczas gdy wszyscy podziwiali techniczne umiejętności pierwszych zdobywców, łupki mikowe na The Cobbler zostały okrutnie zniszczone.

Wywołało to spore zatorowanie zarówno wśród wspinaczy letnich, jak i zimowych. W przeciwieństwie do wielu mikstowych dróg w Cairngorm, które leżą w odległych zakamarkach i są rzadko robione latem, ta jest łatwo dostępna i każdy może zobaczyć pozostawione ślady zimowego przejścia. W rzeczywistości zniszczenie skały nie było gorsze niż te z lat 30., kiedy to wiele klasycznych skalnych dróg zrobiono zimą po raz pierwszy. Z czasem skała zwietrzeje, wyrosną porosty i „rany” staną się mniej widoczne. Jeżeli jednak droga zostanie uznana za „testową”, skała z pewnością ulegnie poważnemu i trwałemu zniszczeniu. Więc jaka będzie przyszłość? Wielu wiodących szkockich wspinaczy przewiduje, że jesteśmy na progu zmian, jeśli chodzi o zimowe standardy. Zwiększa się ciągle zainteresowanie wspinaczką mikstową. Silniejsi i sprawniejsi wspinacze podejmują wyzwanie i niewątpliwie wkrótce zostaną „naruszone” nowe tereny. Interesujące jest jednak to, że większość nowych, zimowych dróg sprzed 10 lat, jak np. Centurion, The Needle, Gverdon Grooves, są ciągle nie powtórzone i należą do najtrudniejszych w kraju. Wszystkie te drogi są VIII stopnia. Ich pierwsze przejścia były wysoko nagrodzone i stały się krokiem milowym w rozwoju sportu.

Dlaczego więc nie ma powtórzeń tych dróg? Moim zdaniem przyczyną nie są krańcowe trudności, tylko nie zawsze dobre, zimowe warunki istniejące na tych drogach. Bardzo chciałbym zobaczyć powtórzenia tych dróg, lecz z drugiej strony byłbym bardzo rozczarowany, gdyby stały się trudnymi klasykami w przyszłości. Nie wierzę jednak,

żeby tak się stało. Na drogach tych rzadko utrzymują się śnieg i lód, a resztki trawek dawno już zostały zerwane przez niezliczone letnie przejścia. W najpopularniejszych regionach zostało niewiele trudnych dróg bez przejść zimowych, ale niektóre z nich tworzą logiczne, zimowe linie. Przejścia trudnych skalnych dróg przy użyciu „dziabeł” i raków są oczywiście możliwe, lecz nie jest to celem szkockiego zimowego wspinania (w przeciwieństwie do lat 80., kiedy to płożony był szczególnie nacisk na robienie letnich dróg zimą). Kuszące do powtórzeń trudne, nowe, zimowe drogi z ostatnich lat znajdują się w terenie, którego unika się latem. Stronie depresje Messiah powyżej Bridge of Orchy i Neanderthal w Glencoe są najlepszym tego przykładem. Przepiękne, techniczne, mikstowe drogi odkryte ostatnio przez Johna Lyalla na Bucket Buttress na Quinang są kolejnym przykładem. Sumując: wśród Szkockich Wzgórz jest o wiele więcej skał odpowiednich dla zimowej wspinaczki niż tych dobrych dla skalnego wspinania. Niszczona zimą letnie drogi to trudny temat, którego nie można pominąć. Jako zimowi wspinacze opowiadamy się za ochroną wszelkich szczytów przed ich trwałym zniszczeniem (haki, raki).

Osobiście nie zamierzam rezygnować z dotychczasowej działalności wspinaczkowej. Jednak postaram się ograniczyć do minimum niekorzystny wpływ na środowisko. Mam nadzieję, że inni zrobią podobnie.

*Tłumaczenie: Piotr Sadowski, Jan Muskat
z miesięcznika „HIGH”, styczeń 1996*

Himalajskie spotkania „Pakera”

Swoje pięciolecie „Paker” uczcił między innymi cyklem prelekcji z udziałem wybitnych ludzi gór, rozpoczynając od liderów wypraw himalajskich. Pierwszym gościem był Krzysztof Wielicki, spotkanie odbyło się 20 marca 1996 w Auli Kolumnowej SGGW i stało się sporym wydarzeniem. 500-osobowa sala była całkowicie zapelniona, prelegent zaś wykazał się dowcipem, bezpośredniością i repleksem, zaprzeczającym obiegowym opiniom o bywalcach 8 tysięcy. Drugie spotkanie poprowadził Andrzej Zawada, 25 kwietnia, wyjątkowo (wystawa na SGGW) w mniejszej auli w murach sąsiedniej SGH (dawniej SGPiS). O atrakcyjności tego wy-

stąpienia zdecydowały specjalnie dobrane, mało znane slajdy oraz niektóre mniej oficjalne czy wręcz zakulisowe wątki i ciekawostki z historii naszego himalaizmu, o których do niedawna nie bardzo można było mówić. Bez nich jednak historia ta wydaje się niezbyt zrozumiałym „pasmem sukcesów” i nie ma ukrytej dramaturgii. Jest też po prostu uboższa i mniej pouczająca i dlatego może warto by pokusić się o spisanie niektórych dotychczas przemilczanych jej wątków. (Szerzej o „administracyjnych przepychankach” himalajskich pisze sam Zawada w czerwcowym numerze nowo powstałego magazynu „Dom i Świat”, zaś obie prelekcje i wernisaże obszernie omawia „Optymista”, nr 25).

GG

Przegląd całorocznych butów górskich

Najogólniej buty górskie można podzielić na skórzane i plastikowe. Powinny być one wystarczające do najłatwiejszych wspinaczek zimowych, średnio trudnych wspinaczek skalnych i chodzenia po śniegu, a ich podstawową cechą jest wodoodporność. Regułą jest także możliwość przypięcia raków. Konstrukcja butów górskich jest wzmocniona, co niestety wpływa na ich wagę – około 2 kg na parę. Poniższy przegląd został opublikowany we wrześniowym (1995 r.) numerze brytyjskiego miesięcznika „High”. Dla orientacji i porównania podane są ceny w funtach, choć mogą one nie być adekwatne do cen w Polsce.

Na co należy zwrócić uwagę przy zakupie butów górskich?

Jeżeli decydujesz się na buty skórzane, powinny być one uszyte z jednego kawałka skóry. Powody są proste. Szwy i przeszycia w części przedniej i po bokach buta szybko ulegają przetarciu, np. podczas chodzenia po piargu. Jedynie szew na pięcie jest najmniej narażony na zniszczenie. Poza tym, szew to oczywiście miejsce najszybciej przemakające.

Tak więc, jeżeli zależy Ci na butach trwałych i szczelnych, wybierz te wycięte wraz z językiem z jednego płata skóry i zszyte na pięcie. Są one najbardziej praktyczne, choć może niezbyt eleganckie. Gdyby jednak trafiły Ci się buty z doszitym językiem, zwróć uwagę na ochronę szwa u podstawy języka: należy go dobrze zaimpregnować i w miarę możliwości zakrywać ochraniaczami.

Buty plastikowe składają się ze skorupy wierzchniej i miękkiego botka wewnętrznego, który można wyjąć, np. do wyprania, albo nawet wymienić na nowy. Ten rodzaj obuwia górskiego jest szczególnie popularny wśród wspinaczy i „ludzi z gór” z racji 100% wodoszczelności, trwałości i dobrej izolacji cieplnej. Wystarczająco sztywna budowa buta plastikowego pozwala po założeniu raków nawet na trudną wspinaczkę w lodzie.

Plastikowe skorupy są produkowane z różnych materiałów i charakteryzują się różnym stopniem elastyczności w kostce. Buty z bardziej miękkiego plastiku, giętkie w kostce, są przeznaczone do „ogólnego użytku” w górach, choć okazują się wystarczające nawet na czwórkowej drodze zimą. Buty sztywniejsze nadają się do poważniejszych wyczynów.

Jednak wszystkie buty plastikowe są zbyt ciężkie i toporne, by ich używać w skale.

Jeśli tylko nie zamierzasz używać butów przede wszystkim do technicznej wspinaczki, staraj się kupić te z odpowiednio wygiętą z przodu podeszwą, co sprawi, że chodzenie po górskich drogach i bezdrożach będzie znacznie bardziej komfortowe i przyjemne.

Krótką charakterystyką dostępnych w Polsce modeli butów górskich

ASOLO AFX103 – plastikowe o sztywnej budowie, z raczej płaską podeszwą i stosunkowo miękką skorupą. Bardzo dobre w lodzie i na drogach miksowych, wygodne i bezpieczne nawet na stromych ścianach, pomimo pewnej elastyczności w kostce. W skale za ciężkie, podobnie jak inne plastiki. Zbyt sztywne do zwykłego chodzenia po górach. Dłuższe wędrowki po równym terenie utrudniają płaską podeszwę, choć sprawiedliwie trzeba przyznać, że nie do tych celów zostały stworzone. Dobra jakość, ale i wysoka cena.

Berghaus OGRE – skórzane, wyjątkowo wygodne, nie wymagają „rozchodzenia”. Dużo miejsca dla palców nóg. Sztywność zawdzięczają nylonowo-węglowej wkładce w podeszwie, natomiast odpowiednie wyprofilowanie przodu podeszwy pozwala na komfortowe wędrowanie po szlakach. Dobra ochrona stóp i na piargach, i w głębokim śniegu. Polecamy.

Berghaus RIMO – skórzane, damska wersja modelu OGRE. Nieco za szerokie dla kobiecej stopy. Ponadto mogą stwarzać problemy w dopasowaniu konwencjonalnych raków. Niemniej jednak, wykazują zalety modelu OGRE; są wygodne i wodoszczelne. Dość drogie.

Berghaus SARAK – skórzane, zaliczane do butów całorocznych, choć są o wiele bardziej miękkie i delikatne niż modele OGRE i RIMO. Należy je traktować raczej jako obuwie do zdobywania bezkolkich szczytów, niż do przedzierania się przez tatrzańskie piarżyska i kamieniste bezdroża. Nylonowa wkładka w podeszwie dobrze chroni stopę przed odczuwaniem nierówności gruntu, jednocześnie zachowując elastyczność konieczną przy długich wędrowkach. Wysoko ocenione przez użytkowników, wytrzymują porównanie z innymi podob-

nymi modelami znanych i cenionych producentów. Dobrze chronią kostkę, są wodoszczelne i dają komfort stopie, nawet po całym dniu noszenia. Polecamy.

Boreal FUJI – skórzane. Charakterystyczną cechą tego i kilku innych modeli Boreala jest specjalna 3-warstwowa podeszwa: z przodu i z tyłu najtwardsza i najmocniejsza ze względu na mocowanie raków, części w kolorze czerwonym są średnio twarde i kontrolują skręcanie buta, a reszta jest miękka i elastyczna. Buty wąskie i wymagające rozchodzenia. Stanowią kompromis pomiędzy butami sztywnymi do pokonywania szczególnie uciążliwego terenu a butami miękkimi, przeznaczonymi do wędrówek. Zwraca uwagę dobra absorpcja wstrząsów. Niestety, mogą sprawiać kłopoty podczas deszczu – ich wodoszczelność pozostawia wiele do życzenia.

Boreal KURDI – skórzane letnie buty z dwuwarstwową podeszwą. Przeznaczone raczej do użytku w klimacie suchym, ze względu na słabą wodoodporność i płytki bieżnik podeszwy, grożący poślizgiem na błocie. Bardzo wygodne, choć może za szerokie dla pań. Dobrze zachowują się w średnio trudnym terenie.

Koflach CLIMA COMPREX – specjalistyczne buty plastikowe z zawiasem w kostce i systemem wypompowywania i wypompowywania powietrza przy każdym kroku. Doskonale pasują do narciarskich wiązań typu Silvretta. Praktycznie opierają się

każdej krytyce. Skóra stopy lepiej oddycha niż w innych, podobnych butach. Oferują dobre (jak na plastyki) „czucie” w skale i w lodzie. Nie obcierają nawet po całodziennym chodzeniu. Polecamy.

Koflach VIVA SOFT LADY – plastiki dla pań. Ciepłe, wygodne, dobrze dopasowane. Świetnie chronią stopę. Mogą (ale nie muszą) przemakać w okolicy zawiasu w kostce. Ich duża popularność wśród pań jako zimowych butów górskich jest w pełni uzasadniona.

Scarpa ALP M4 – świetne, skórzane buty zimowe do wędrowania po górach. W pełni zasługują na wysoką ocenę. Dobra ochrona kostki. Wystarczająco sztywna i odporna na wstrząsy podeszwa, właściwie wygięta z przodu stopy pozwala na wygodne pokonywanie kilometrów górskich szlaków. Mogą być jednak nieco za miękkie do poruszania się w naprawdę trudnym, kamienistym terenie. Dość drogie.

Scarpa FITZROY M4 – skórzane, całoroczne. Flagowy model Scarpy. Wymagają rozchodzenia. Dość sztywne, z płaską podeszwą i punktem naturalnego zgięcia podeszwy przesuniętym w tył, by lepiej pracowały w skale. Wyjątkowo lekkie, doskonale radzą sobie z większością przeszkód czyhających w górach. W pełni wodoszczelne, chroniące kostkę. Nie dają jednak takiego komfortu stopie, jak model ALP. Polecamy, pomimo ceny (najdroższe buty skórzane).

WARSZAWSKIE PIĘCIOŁATKI

Nawiązując do przeglądowego artykułu z „Tatemika” nr 2/94 o warszawskich sklepach wspinaczkowych informujemy, że niestety ich liczba zmalała – nie ma już „Stuptuta” przy rondzie Wiatraczna.

Natomiast „Paker” przenosi się do bardziej okazałej siedziby przy ul. Żurawiej 6/12 (róg Kruczej), wciąż pozostając najbliższym centrum Warszawy sklepem w swej branży. Z kolei „Sklep Podróżnika” rozrósł się o dodatkowe lokale: już trzeci w Krakowie przy ul. Dietla 68 oraz drugi w Bielsku przy ul. Podcienie 2, ma ich więc łącznie 9 w czterech miastach kraju.

Warto przypomnieć, że zarówno „Paker”, jak

i trochę starszy od niego „Sklep Podróżnika” niedawno doczekały się swojego pięciolecia, przypadającego na przełom 1995 i 1996, a obchodzonego przez kilka dalszych miesięcy. Z tej okazji obie firmy wprowadziły nowe elementy do swojego asortymentu, ogłosiły też jubileuszowe zniżki i dodatkowe imprezy. „Paker” nadto zafundował sobie kilka reklam na rozkładówkach (zwłaszcza w „Górach”). „Sklep Podróżnika” również reklamował swoją rocznicę, ale na mniejszych powierzchniach, za to wydał okolicznościowy katalog. Znacznie poszerzył też swoją ofertę wydawniczą – dotąd znaliśmy go bowiem z wznowienia 24 tomów „Tatr Wysokich” W.H. Paryskiego – publikując m.in. podręcznik do telemarku oraz całą serię przewodników po Alpach, opracowanych specjalnie dla polskiego czytelnika (ostatnio ukazały się „Dolomity cz. I” i „Alpy Francuskie”).

Jubilatom gratulujemy i życzymy coraz większych obrotów (takie czasy).

GG

Przegląd wernisaży

Tak się złożyło, że przez minione pół roku wybitni wspinacze różnych pokoleń otworzyli kilka interesujących wystaw graficznych i fotograficznych.

WYSTAWA KRZYSZTOFA WIELICKIEGO W MUZEUM ZIEMI

Najpoważniejszym i gromadzącym najszerszą publiczność wydarzeniem była ekspozycja fotografii Krzysztofa Wielickiego pt. „Moje góry”, otworzona 24 marca 1996, goszcząca przez miesiąc w Muzeum Ziemi PAN w Warszawie. Na wernisażu obecnych było blisko 150 osób (mimo jednoczesnej wizyty królowej brytyjskiej), wśród których licznie pojawili się reprezentanci himalaizmu i taternictwa, na czele z Józefem Nyką, Andrzejem Zawadą, Leszkiem Cichym i Ryszardem Pawłowskim, a także ludzie biznesu, w tym prezes firmy „Foto-World” Janusz Baranowski oraz dyrekcja Muzeum i szeroka publiczność.

Sama kolekcja zawierała przeszło 30 wielkich i starannie wyselekcjonowanych fotogramów z Himalajów i Karakorum, z całym zestawem zdobytych przez Wielickiego 8-tysięczników oraz wybitnie wyeksponowaną „Świetlistą Ścianą” Gasherbruma IV. Nienaganna jakość robiących spore wrażenie powiększeń (do półtora metra) była zasługą jednego z głównych sponsorów Wielickiego – firmy „Foto-World”, będącej oficjalnym przedstawicielem Kodaka w naszym kraju. Reprodukcie bowiem wykonało jej znakomite laboratorium firmowe (dla zainteresowanych – ze slajdów małoobrazkowych najpierw zrobiono internegatywy na specjalnym filmie do duplikacji i dopiero potem je powiększano).

Wystawie towarzyszył codzienny pokaz filmu z zimowej wyprawy na Everest, jedynie dawno temu emitowanego przez państwową telewizję (w 1980 i 1988 roku). Samą zaś imprezę uzupełniał zafundowany przez sponsorów (FOTO-WORLD, POL-KAUFRING i CANAL+) poczęstunek najbardziej cenionym przez wspinaczy „relaksantem”, czyli piwem, i to nieprzyswoicie dobrej marki.

Warto również wspomnieć, że Muzeum Ziemi

użycza swoich sal także innym, mogących zainteresować wspinaczy ekspozycjom (o wystawie fotografii jaskiń pisał poprzedni „Taternik”, ale są tu również działy stałe, np. poświęcone granitom czy powstawaniu gór).

Wystawa „Moje góry” w fotografii Krzysztofa Wielickiego otwarta w Muzeum Ziemi PAN w Warszawie udostępniona została publiczności po raz drugi od 5.06. do 31.08. tego roku.

ROCZNICOWA WYSTAWA ANDRZEJA PIETSCHA

Najwcześniej jednak, bo 14 października 1995 w warszawskiej Galerii Grafiki i Plakatu przy ul. Hożej 40 (róg Marszałkowskiej), swoją autorską prezentację otworzył Andrzej Pietsch, współzdobywca Wariantu R i do niedawna prorektor krakowskiej ASP. Dla obecnych na wernisażu reprezentatów środowiska taternickiego (Andrzej Ziemiński, Józef Nyka, Tomasz Łubieński) wzruszającą niespodzianką było to, że mistrz sedno swojego kilkunastominutowego zagajenia poświęcił wspinaczkom, Janowi Długoszowi i Wariantowi R, zaskakując wszystkich dokładnie zaplanowaną zbieżnością dat (równy 40 lat wcześniej obaj weszli na wierzchołek Mnicha po ukończeniu ściany). Ogólny wydźwięk tego wystąpienia, ilustrowanego dużą fotografią wschodniej Mnicha, był taki, że tak naprawdę to właśnie wspinaczka i Wariant R „to było to” w życiu artysty, zaś „cała reszta”, w tym grafika, stanowiły tylko „próbę utrwalenia tamtych doznań”. O pierwszych swoich pracach, często dosłownych krajobrazach gór, sam mistrz mówił dziś jako o „koszmarnych gniotach”. Jednak późniejsze jego grafiki to bardziej wyrafinowane motywy, od pastelowych, „gorczańskich w klimacie” (to ocena uzgodniona z Józefem Nyką, autorem przewodnika także po Gorcach), choć inspirowanych Kanadą krajob-

razów, po formy bardziej ostre, surowe w kolorach, mogące kojarzyć się ze skałą, jej fakturą i bryłami.

Warto zaznaczyć, że niezależnie od tego, iż trwająca przeszło miesiąc wystawa dawno się skończyła, w Galerii zawsze znajdziemy jakieś prace Pietscha, przy czym oprócz tych wyeksponowanych należy przejrzeć także to, co jest w szafkach, bowiem każda grafika może być niepowtarzalna i odbita w zupełnie innych kolorach. Ponieważ galerie służą sprzedaży, trzeba wspomnieć i o cenach: dla prac Pietscha zaczynają się one od 90 nowych złotych za małą gafikę do kilkuset za większą odbitkę.

Na marginesie: w „Polityce” z 25 grudnia 1995 ogłoszono pięcioletni ranking polskich plastyków i Andrzej Pietsch znalazł się tam na 46 miejscu (w zestawieniu słabo jednak uwzględniono aspekt finansowy, podobno obecnie w Polsce nie dający się oszacować, natomiast głównie oceniano obecność w międzynarodowych muzeach, na wystawach i w prasie). Swego czasu miał on też opinię „najlepiej sprzedającego się na Zachodzie polskiego grafika”, co, jak dziś mówi, było raczej grubą przesadą wynikłą tylko z ówczesnych relacji cen.

GALERIA „NOREXU”

Trzeci wreszcie temat to cała seria wernisaży warszawskiej firmy „Norex”, sprzedającej profesjonalny sprzęt fotograficzny (od drobiazgów, przysłowiowych pędzelków i ramek do slajdów, po olbrzymie powiększalniki za kilkadziesiąt tysięcy marek, m.in. taki jak ten, którym reprodukowano zdjęcia Wielickiego). W siedzibie firmy przy ul. Smolnej 8 (najwyższy budynek naprzeciw Gmachu Giełdy przy Al. Jerozolimskich) działa galeria „Świat fotografii”, która co miesiąc-dwa gości ekspozycje wybitnych mistrzów obiektywu, m.in. znanego foto-

graфа „Solidarności” Erazma Ciołka (w styczniu 1996) czy saharijski dorobek znanego fotoreportera Tomasza Wierzejskiego (na przełomie 1994 i 1995; nb. on sam trochę zajmował się także wspinaniem, ukończył nawet szkolenie, a jesienią 1989 był współzdobywcą najwyższego szczytu Borneo, Mt.Kinabalu 4101 m). Najnowsze wystawy prezentowały swoiste fotomalarstwo Mariana Szmidta (13 marca – 22 kwietnia 1996), formalnie podobne do grafik Pietscha, zawierające też ciekawe faktury podobne do skał, oraz zbiór czarno-białych impersji Jerzego Łapińskiego (od 24 kwietnia).

Istotą tej wiadomości jest jednak to, że firmę tworzy czwórka warszawskich wspinaczy: Eugenia Herzyk, Krzysztof Janiszewski, Aleksander Rygier i Ryszard Urbanik. Ich wyczyny lub zdjęcia już przed kilku czy kilkunastu laty gościły na łamach „Taternika”, pism jaskiniowych, a nawet „Iwa to Yuki” (zdjęcia z Himalajów Rygiera; Urbanik zaś uczestniczył np. w I zimowym przejściu Wielkiego Zacięcia Marmolady i wyprawie na K2 w 1982 roku). Widać to szczególnie w trakcie organizowanych w siedzibie firmy wernisażach, na których regularnie spotkać można np. Janusza Kurczabę, Andrzeja Marcza, Zbigniewa Krośkiewicza, Jerzego Barszczewskiego (słynny dubler z lotu Mni-chowym Żlebem w „Spirali” Zanussiego) czy Tadeusza Skrzyszowskiego (swego czasu znanego wspinacza skalnego), Jerzego Brennejzena, a z pań Krystynę Nasięgniewską, Elżbietę Mierzejewską oraz wielu, wielu innych taterników i taterniczek. Tak iż zwłaszcza pod koniec imprez można poczuć się niemal jak w Klubie czy Morskim Oku.

Warto też wspomnieć, że dwoje udziałowców firmy to wydawcy najlepszego dziś na polskim rynku fachowego magazynu „Foto”. Samą zaś firmę powinni odwiedzić chyba wszyscy wspinacze poważnie angażujący się w fotografię i doceniający sprzęt renomowanych firm.



Książki nadesłane

100 najpiękniejszych gór świata

Album od początku do końca „made in Poland”. Piórem i obiektywem pisany portret

najwspanialszych szczytów na kuli ziemskiej, kronika ich zdobywania. Zdjęcia wykonane przez polskich alpinistów. Do każdego z opisanych i ilustrowanych rejonów dodana mapka. Piękna edycja.

Wydawca:

Grupa IMAGE sp. z o.o. Warszawa
„100 najpiękniejszych gór świata”, autorzy:
Zbigniew Kieras i Wojciech Lewandowski.

Pożegnania

Bernard Uchmański (1936 - 1995)



Benek był człowiekiem o wyjątkowej osobowości: wrażliwy, niezawodny i niezwykle skromny. Jego spokój i siła wewnętrzna wypływająca z głębokiej wiary przyciągała ludzi. Umiał czynić ich lepszymi, pomagać najstarszym upośledzonym.

W Tatrach pojawił się jako osiemnastolatek. Pasjonowało go zarówno taternictwo podziemne jak i powierzchniowe. Brał udział w wielu wyprawach odkrywczych Speleoklubu Warszawskiego (m.in. do j. Miętusiej, Śnieżnej, Zimnej), niejednokrotnie kierując nimi. W latach 1960-1961 przy udziale J. Onyszkiewicza, K. Zdzitowieckiego i innych wyeksplorował J. Śnieżną do głębokości 640 m, co postawiło ją na szóstą pozycję wśród najgłębszych jaskiń świata, a poszczególne akcje z jego udziałem przynosiły kolejne rekordy Polski. Na przełomie 1968/69 wraz z sześcioma kolegami wyszedł z tej jaskini metodą wspinaczki klasycznej – był to rekord świata poprawiony dopiero w 1991 roku. Odwiedził groty Bułgarii, Rumunii, Francji.

Benek poprowadził w Tatrach około 30 nowych dróg, niektóre o dużym znaczeniu, nadał nazwy wielu turniom i graniom. Wraz z P. Misiurewiczem wspiął się północnym filarem Małego Młynarza (1960 r.), z J. Wachowiczem i J. Fereńskim północno-wschodnią ścianą Mnicha (1963 i 1964 r.), a w roku 1964 pokonał ścianę czołową Miękuszwieckiego Szczytu (z A. Starkiem).

Jeździł też w góry dalekie. Współkierował pierwszą polską ekspedycją w Pamiro-Ałaj, która zdobyła 14 dziewiczych szczytów (wszedł wówczas m.in. na Pik Skalisty – 5621 m, a innej zdobytej przez siebie górze nadał imię matki – Szczyt Stanisławy – 5031 m). Kierował wyprawą w Góry Fańskie (1974 r.) dokonując kilku wejść wielkimi filarami, m.in. na Głową Cukru – ok. 5000 m. W roku 1976 poprowadził wyprawę na Alaskę, w góry Św. Eliaza. Zdobyto wówczas 9 szczytów, wykonano dokumentację topograficzną i filmową, obserwacje geologiczne i glaciologiczne. Jako pomocnik operatora filmowego wziął udział w wyprawie na Kanczendzengę Pd. i Śr. (1978 r.), gdzie osiągnął wysokość 8000 m.

Benek pisał wiele o górach. Był korespondentem „Słowa Powszechnego”, współpracował z wie-

loma czasopismami, a także z „Wiercicą”, „Taternikiem”, „Wierchami”, zamieścił teksty i zdjęcia w górskich monografiach pod red. K. Sayssse-Tobicy. W 1973 r. wydał książkę „Polacy w górach Pamiro-Ałaju”. Jego znakomite fotografie górskie brały udział w wystawach, zdobywały nagrody na konkursach.

Jako absolwent Politechniki Warszawskiej Benek zajmował się budownictwem wodnym pracując w „Energoprojekcie”. Pasjonowało go żeglarstwo (pływał po Bałtyku i Morzu Północnym), a także muzyka. Zawsze nosił przy sobie organki – niezawodne w sytuacjach bez wyjścia. Nie opuszczało go poczucie humoru.

Z potrzeby służenia innym ostatnie 15 lat życia poświęcił niemal bez reszty dzieciom niepełnosprawnym umysłowo, działając w ruchu „Wiara i światło”.

Cieszył się na kolejną wyprawę, tym razem w Andy. Zginął 8 czerwca 1995 r. asekurując partnera w ścianie Alpamayo – 5947 m (Cordillera Bianca). 150 m od wierzchołka zespół dosięgł spadające bryły lodu.

Tyle miał jeszcze do zrobienia.

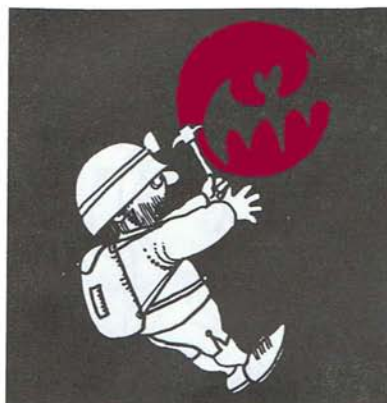
Izabella Luty

prof. Mieczysław Klimaszewski

W wieku 87 lat zmarł w Krakowie 28 listopada 1995 roku europejskiej sławy geograf i geomorfolog, głównie badacz geomorfologii Tatr i ich szerokiego przedpola prof. dr Mieczysław Klimaszewski. Urodzony w r. 1908, zobaczył Tatry z Turbacz, gdy miał lat 14. W okresie studiów (1927-31) wykonał m.in. pomiary Stawu Ciężkiego. Ogłosił przeszło 200 publikacji – w kraju i za granicą. Szczególną wartość naukową i popularyzatorską mają jego prace „Morfologia glacialna Doliny Cichej w Tatrach” (1938, współautor), „Morfologia zamknię-

cia Doliny Białej Wody" (1950) oraz „Zyrys rozwoju rzeźby Tatr Polskich" (1962). W r. 1988 opublikował dzieło życia – liczącą bez mała 700 stron (250 rycin, 100 tablic, mapy) podstawową monografię morfologiczną Tatr i Podtatrza, ztytułowaną „Rzeźba Tatr Polskich" i w dużej mierze opartą na materiałach zebranych przez siebie samego. Badania prowadził też w Alpach (1936), na Spitsbergenie (1938), w Brazylii (1956) i w Chinach (1958). Przez niemal 20 lat (1972-1991) prof. Klimaszewski pełnił funkcję przewodniczącego Rady TPN – stanowczo, choć z właściwym sobie taktem, przeciwstawiając się coraz to nowym projektom „cywilizowania" naszych gór. Zainicjował wówczas wydanie nakładem

TPN i TPNoZ „Atlasu Tatrzańskiego Parku Narodowego" (1985), w którym najwartościowsze plansze (o większości nie można tego powiedzieć...) są jego autorstwa. Po roku 1991 pozostał honorowym przewodniczącym Rady, nadal wspierając jej działania. Na Uniwersytecie Jagiellońskim zajmował kierownicze stanowiska, m.in. w latach 1964-72 był jego rektorem. Należał do wielu światowych organizacji i towarzystw naukowych, 8 uczelni wyższych nadało mu tytuł doktora honoris causa. Jako polityk pełnił w latach 1965-72 funkcję zastępcy przewodniczącego Rady Państwa. Został pochowany w Krakowie, gdzie spędził większą część swego pracowitego życia. (J. Nyka)



Jaskinie i speleologia

Dokumentacja Chelosiowej Jamy

W latach 1984-86, za sprawą prac eksploracyjnych grotołazów z STJiA w Kielcach, jaskinia Chelosiowa Jama przeobraziła się z niewielkiej, stumetrowej pieczary w Górach Świętokrzyskich w największą polską jaskinię pozatatrzańską.

Równocześnie z postępem odkryć rozpoczęto w tej jaskini prace dokumentacyjne, ale nie udało się ich wtedy doprowadzić do zadowalającego zakończenia. Pełna dokumentacja Chelosiowej Jamy powstała pod koniec ubiegłego roku. Prace terenowe wykonał zespół: Jacek Gubała, Zbigniew Grzeła, Andrzej Kasza, Jarosław Rogalski. Stroną obliczeniową i zestawieniem ciągów pomiarowych zajęli się J. Rogalski i Aleksandra Szeja. Dokumentację graficzną opracował i wykreślił Jarosław Rogalski, a jej opis sporządził A. Kasza. Powstał plan w skali 1:200 i przekrój podłużny W-E w skali 1:500.

Chelosiowa Jama ma:

- 2599 m długości, 271,5 m rozciągłości W-E, 184 m rozciągłości N-S, a maksymalna jej rozciągłość wynosi 282 m,

- 32,5 m deniwelacji, 21,5 m głębokości do lustra wody jeziora i 11 m wysokości do salki nad kominem w Sali z Kominem. Wraz z głębokością jeziora, która wynosi 7 m,

- 39,5 m deniwelacji i 28,5 m głębokości.

Dokumentacja jest własnością wojewody kieleckiego. Obecnie czynione są starania o jej jak najszybsze opublikowanie.

Warto przy okazji wspomnieć o wspaniałych odkryciach, jakie mają teraz miejsce w pobliskiej Jaskini Jaworznickiej. Jej długość wzrosła już do ok. 700 m. Najdalej położone partie J. Jaworznickiej zbliżyły się już na tyle do korytarza Chelosiowej Jamy, że połączenie obu tych jaskiń w jeden duży system wydaje się dziś być jedynie kwestią czasu.

Jarosław Rogalski

Syfon w Wielkich Kominach

Przygotowany do druku numer „Wiercicy” przynosi szczegółowe relacje Krzysztofa Starnawskiego z jego nurkowań na dnie Wielkich Kominów Jaskini Miętusiej. Zaopatrzone w plan i przekrój artykuł pozwala na podanie dokładniejszych danych i zweryfikowanie głębokości poznanych partii jaskini.

Całkowita długość syfonu wynosi 210 m, a najniższy punkt osiągnięty został w jego ślepych odgałęzieniach. Znajduje się on na głębokości 31 metrów poniżej lustra wody, a więc –244 m w stosunku do otworu jaskini. Stąd też całkowita deniwelacja wzrosła nie do 267 m (jak podawaliśmy w poprzednim numerze na podstawie wstępnych doniesień) a do 266 m (–244, +22). Główny ciąg syfonu – doprowadzający do sali z kominami i odpływem wody liczy 160 m przy głębokości 27 m.

(rk)

Co nowego w Tatrach

W związku z sezonem letnim prezentujemy schemat „Pachniesz Brzaskwinią”, drogi poprowadzonej 28 sierpnia 1994 roku przez R. Stępisiewicza, M. Tertelisa oraz W. Wentę na ścianie czołowej zachodniego filara Kopy Spadowej.

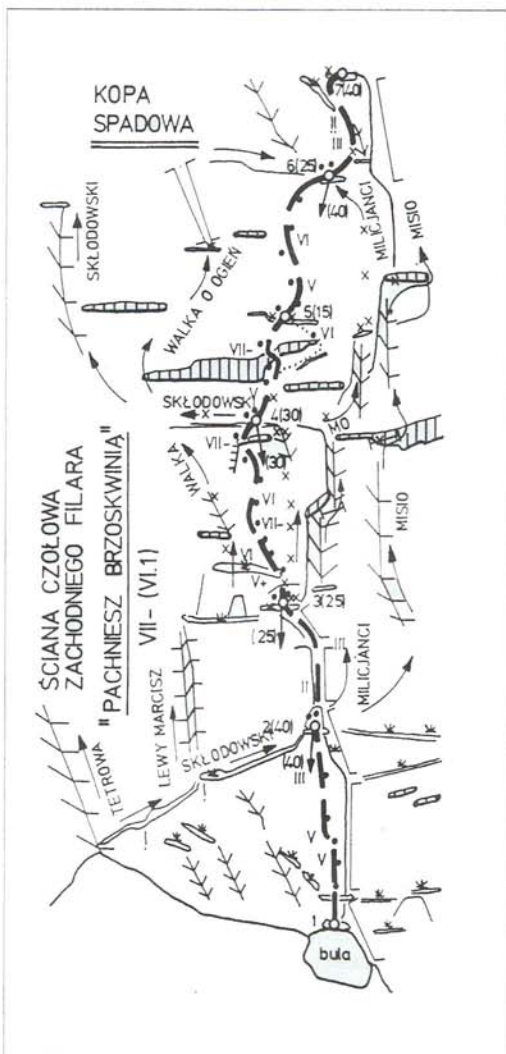
Droga okazała się hitem zeszłorocznego lata. W ciągu kilku letnich tygodni wybrało się na nią ponad trzydzieści zespołów (dla porównania – lepsze „osiągi” zanotowały tylko popularne standardy mnichowe – Klasyczna oraz Orłowski). Droga pokonuje techniczne, płytowe formacje środka ściany, przewijając się w górnej jej części przez prawy skraj okapu zamykającego płytę z drogą Skłodowskiego. Wobec braku naturalnych możliwości asekuracji, trasę ubezpieczono spitami. Stałe stanowiska zjazdowe w linii przebiegu drogi, wyposażone w karabinki z zaklejonymi zamkami, umożliwiają zjazd do podstawy ściany (wymagana jest lina min. 80 m). Trudności drogi nie wykraczają poza stopień VII- (VI. 1), zaś sprzęt potrzebny do jej pokonania ogranicza się do zestawu ekspresów (ok. 8-9 sztuk). Czas powtórzeń wynosi ok. 2,5 godziny.

O klasie i jakości rozwiązania świadczyć może fakt, że wspinacze o mniejszym zasięgu możliwości technicznych przechodzą następującą kombinację – strat wspólny z „Pachniesz...”, następnie pokonanie płyty drogą Skłodowskiego, dalej ominięcie przewinięcia przez okap wariantem z 1987 roku (dobity spit), zaś zakończenie wspólne znowu z „Pachniesz...” Trudności takiej kombinacji, nazywanej „Skłodowski Pachnący Brzaskwinią”, mieszczą się w granicach tradycyjnej, tatrzańskiej szóstki.

Wspinaczu, jeżeli zapragniesz dotknąć dłonią wygrzanego słońcem granitu, wybierz się na „Pachniesz Brzaskwinią”. Oto, jak dotrzeć pod ścianę: znad Morskiego Oka udaj się ścieżką turystyczną nad Czarny Staw. Podążaj nią dalej w kierunku Rysów, a po okrążeniu Czarnego Stawu odbij nie-

wyraźną percią w lewo. Doprowadzi cię ona pod ścianę Czołówki Kopy Spadowej. Podejście nie zajmuje więcej niż 1 godzinę. Szczegóły drogi oraz ww. kombinacji znajdują się na schemacie.

Maciej Tertelis



Spotkanie w Zakopanem

Zaczęło się od projektu Balu Alpinisty. Bal się nie odbył, ponieważ nie znaleźli się chętni. Dlatego po zebraniu Zarządu PZA w wili „Rawa” środowisko zakopiańskie zorganizowało spotkanie „U Borsuka”. Zebrano się tam kilkanaście osób i mile spędziło wieczór. Najważniejszym punktem programu było wręczenie przez Leszka Cichego, prezesa PZA, dyplomów za osiągnięcia sportowe roku ubiegłego. Wyróżnieni w ten sposób zostali:



Uścisk dłoni prezesa. Leszek Cichy wręcza dyplom Piotrowi Pustelnikowi

Sebastian Zasadzki – za zdobycie Pucharu Polski we wspinaczce sportowej i znaczące osiągnięcia w skałkach.

Piotr Korczak – za ustanowienie pierwszej drogi w skali IX na Filarze Kazalnicy.

Wojciech Słowakiewicz – za ustanowienie pierwszej drogi w skali IX na Filarze Kazalnicy.

Maciej Rysula – za przejście lodospadu Namche Bazar (Nepal) i okapu La Liberté (Szwajcaria).

Marcin Kasperek – za samotne przejście filara Monte Agnes.

Andrzej Ciszewski – za całokształt eksploracji jaskini Lamprechtsofen (Austria), co uczyniło ją drugą jaskinią świata.

Ryszard Pawłowski – za wejście na Mount Everest od strony północnej.

Piotr Pustelnik – za wejście na Mount Everest od strony północnej.



Od lewej: Renata Piszczek, Anna Czerwińska, Andrzej Zawada, Leszek Cichy, Krzysztof Wielicki, Piotr Pustelnik

Pomysł zorganizowania takiego spotkania był dobry, może mniej szczęśliwie dobrano termin. W tym samym dniu (13.04) rozpoczął się kurs instruktorski i zawody w ski alpinizmie.

KW Toruń

Klub zrzesza 127 osób, z czego aktywnych jest około czterdziestu. Ostatniej zimy wspinano się w górach 20 osób, latem 1995–36. W ostatnim okresie czasu zorganizowano kilka wyjazdów zagranicznych:

2 osoby wspinęły się zimą w Alpach,

2 osoby weszły w 1995 roku na Kilimandżaro,

9 osób liczyła wyprawa w Himalaje (Jogin - 6500 m),

6 osób wspinęło się w masywie Todra w Maroku.

Wyjazdy były realizowane za pieniądze uczestników z niewielką pomocą klubu i innych instytucji. Przykładowo koszt wyprawy w Himalaje wyniósł 32000 zł. Uczestnicy wnieśli 18000 złotych, 6000 złotych to dotacja PZA, 4000 złotych uzyskano z Urzędu Miejskiego i Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu, a pozostałe 4000 złotych od sponsorów. W Toruńskim Centrum Kultury przez miesiąc eksponowano wystawę 60 fotogramów wyprawy, którą potem przeniesiono do Grudziądza.

ALPINIZM - TURYSTYKA

*Polecamy
w szerokim zakresie:*

- ❖ Sprzęt alpinistyczny i turystyczny
- ❖ Literaturę górską
- ❖ Obuwie turystyczne
- ❖ Odzież z tkanin POLAR, GORE-TEX, HighTech MICRO

*Instruktaż i szkolenie w zakresie
technik alpinistycznych.
Sklepy prowadzą alpinisci i grotolazi*

Wrocław: ul. Czysła 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 72-58-38

Plac Bema 5, tel. (071) 22-96-03

 **alpinus**

SKLEP FIRMOWY
ul. K. Szajnochy (róg Gepperta)
tel. (071) 72-36-31

Zapraszamy

Dla stałych klientów zniżki

**CAVE
SPORT**



**Nowe miejsca
stare ceny!**



Od CZERWCA '96 ZAPRASZAMY
NA UL. ŻURAWIĄ 6/12
(PRZY KRUCZEJ) WARSZAWA
TEL. 622-52-87

 **alpinus**

Sklep firmowy

T A T E R N I K

**ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII**

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 42-85-92

Kolegium redakcyjne:

Andrzej Kłos, Wojciech Święcicki, Rafał Kardaś

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

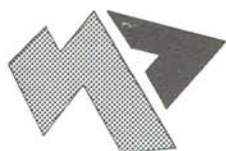
ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

*Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teks-
ty na komputerze, o przekazywanie ich w for-
mie dyskietek (zwracamy) w programie TAG,
Page Maker, Word For Windows, Ami PRO*

CONTENTS

- 2 - Tien Szan '95
- 6 - We also managet to went out
- 9 - Through Tennengebige
- 11 - Exploration over Ósmy Syfon
- 13 - The well of the Kazalnica Miętusia
- 15 - Short story about exploration
in Partie Za Kolankiem
- 17 - „Ice from water” by Stubai
- 20 - Climbing in Holland and Belgium
- 22 - Mały Lodowy Szczyt
- 24 - Where the simple line is being
changed into iron one
- 32 - Cimbers in „Polityka”
- 34 - Scot's winter ethics
- 36 - Mountain boots for all year
- 38 - An exhibition
- 40 - Obituaries
- 41 - Caves and speleology
- 42 - News from the Tatras
- 43 - News of organization

SKLEPY SPORTOWE



W.I.P. sport

Warszawa, ul. Mariensztat 21A
ul. Garbarska 5

Oferujemy:

*Sprzęt wspinaczkowy
turystyczny
Odzież sportową*

*Buty trackingowe
Sprzęt narciarski
rowerowy*

Serwis rowerowy i narciarski

Uwaga!

**(POWTARZAMY COROCZNY KOMUNIKAT)
DROGIE KOLEŻANKI! MILI KOLEDZY!**

Już od 1 lipca ruszają pełną parą nasze niezawodne, prawie z gumy obozowiska. Kolejny sezon letni na obozowiskach przed nami. Pogoda będzie pewna - jaka? To się okaże! Oczekujemy was już - jak zwykle - od 1 lipca:

Na Szałasiskach miejscami dysponuje koleżanka Ania Szymkowska-Czyż. Do niej też należy zgłaszać, kiedy i na jak długo przyjeżdżacie. Na tym obozowisku dzieci nadal nie są mile widziane. Obozowisko przeznaczone jest jak zwykle dla „tojanów”, a przynajmniej dla ludzi wspinających się.
Anna Szymkowska-Czyż
34-500 Zakopane
Schronisko Morskie Oko w Tatrach (dla obozowiska Na Szałasiskach)

Na Rąbaniskach chatarzą poznaniacy pod nadzorem Piotra Bittnera, który już teraz czeka na zgłoszenia (**Poznań 0-61 47-20-37**). Zalecamy to właśnie obozowisko dla kolegów początkujących oraz rodzin z dobrze ułożonymi dziećmi powyżej lat 6. Góry blisko, do miasta daleko.
Piotr Bittner
34-500 Zakopane
Schronisko Murowaniec
na Hali Gąsienicowej (dla obozowiska na Rąbaniskach)

Na Polanie Rogoźniczańskiej specjalna oferta dla grotolazów i nie tylko. Jeśli ktoś lubi spokój, las i Tatry Zachodnie, a do tego „dziury” polecamy Polanę. Tu też dozwolone są dzieci. Całością obiektu zawiaduje koleżanka Zofia Chruściel
Zofia Chruściel
Obozowisko na Polanie
Rogoźniczańskiej
34-512 Witów

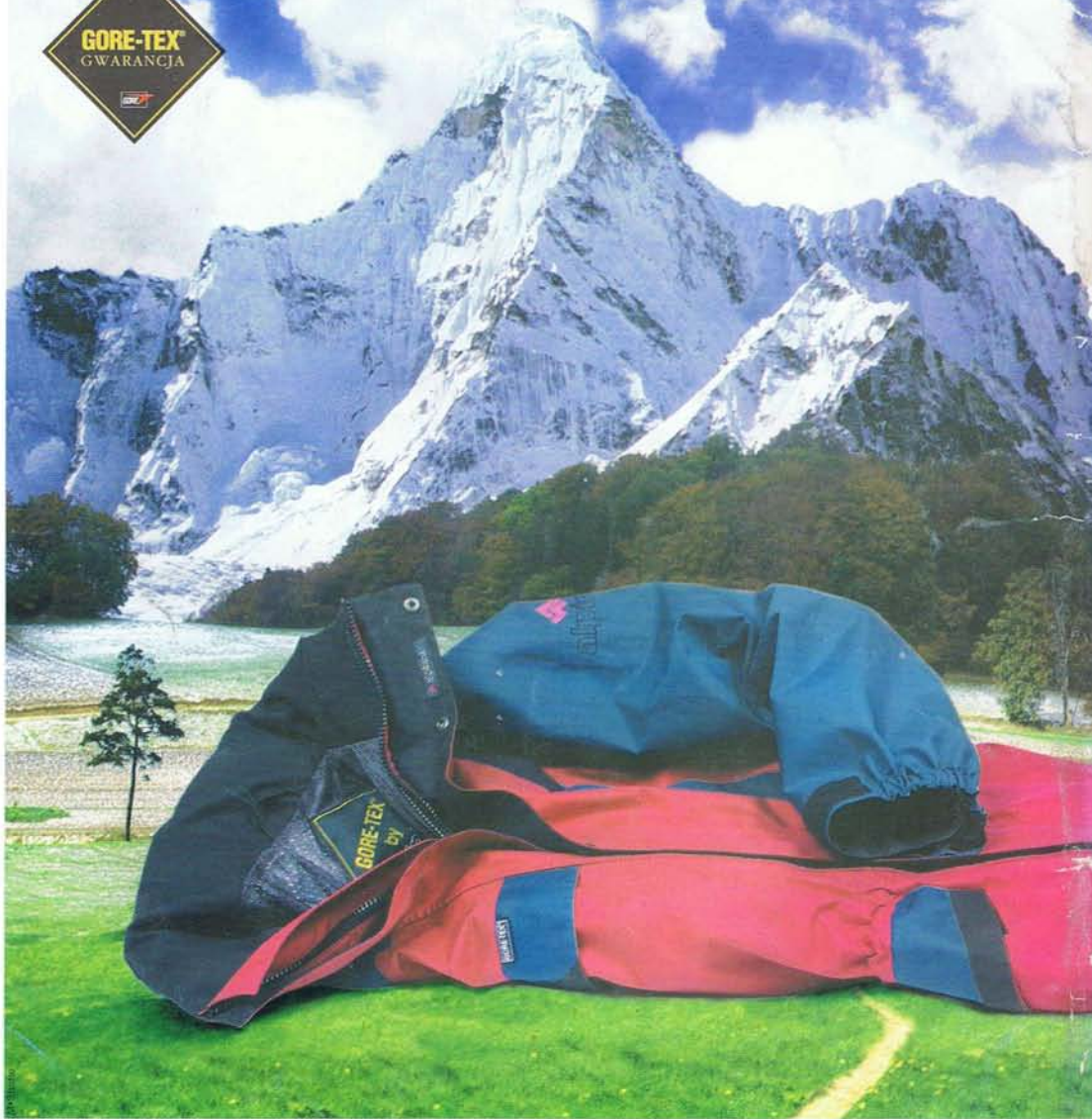
Cena noclegów na obozowiskach: Na Szałasiskach i Rąbaniskach: dla członków organizacji zrzeszonych w PZA z ważną legitymacją klubową: **6,50 zł/noc**
dla wszystkich pozostałych (rodzin, dzieci, cudzoziemców) **8,50 zł/noc**
Na Polanie Rogoźniczańskiej: dla członków organizacji zrzeszonych w PZA z ważną legitymacją klubową: **5,50 zł/noc**
dla wszystkich pozostałych (rodzin, dzieci, cudzoziemców) **7,00 zł/noc**

Za tę cenę oferujemy: namioty, materace, gaz, środki czystości, jak również miłą atmosferę.

<http://pza.org.pl>

Coraz lejsza, coraz cieplejsza, oddychająca i całkowicie nieprzemakalna - oto recepta na sukces w produkcji odzieży sportowej i turystycznej. Dzieło sztuki w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa, rewolucja na rynku popularnych ubiorów ochronnych, dla wszystkich którzy cenią rekreację i lubią spędzać czas na wolnym powietrzu. Alpinus oferuje komplet, współpracujący z ciałem, wielowarstwową odzież, "aktywnej", który umożliwia swobodne "oddychanie" skóry i utrzymuje temperaturę równowagi ciała. Bielizna Rhovylon odprowadza wilgoć z powierzchni ciała do następnych warstw odzieży. Zawsze suche bluzy i pulowery Polartec, niezwykle skutecznie chronią przed zimnem. Nieprzemakalne i wiatroszczelne, wierzchnie kurtki Gore-tex przepuszczają wilgoć na zewnątrz. Choć są one niepokonaną barierą dla deszczu, pozwalają jednak ciału naturalnie oddychać. Słowem - Alpinus oferuje nowoczesność, funkcjonalność, komfort i wygodę. Pamiętaj! Życie nie znosi nieporządków. Jeśli dbasz o zdrowie i styl, unikaj ryzyka, nie idź na żaden kompromis, wybierz pewność i bezpieczeństwo, postaw na Alpinus. W naszej odzieży żadna zmiłana pogody nie będzie dla Ciebie zaskoczeniem. Wiedź również, że wszystkie nasze wyroby objęte są gwarancją.

Komu w drogę temu Alpinus



alpinus

PIĄTA STRONA ŚWIATA

<http://pza.org.pl>